NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Królestwo Polskie: **W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6.**
Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.
Główny skład na Księstwo Poznańskie: **M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.**
Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XII. Kraków, 13 lutego 1915. Nr. 7.

Następca tronu na Wawelu.



Od lewej ku prawej stoją: kierownik budowy inż. arch Skawiński, prezydent miasta Krakowa dr. Leo, sekretarz inż. A. Bogdani, arcyksiążę Karol Franciszek, książę Parmy, delegat dr. A. Fedorowicz.

Następca tronu na Wawelu.

(Do illustracyi tytułowej).

Gród podwawelski przyjmował w tych dniach dostojnego gościa. W dniu 30. stycznia odwiedził Kraków następca tronu, arcyksiążę Karol Franciszek, serdecznie witany przez ludność. Arcyksiążę podczas swego krótkiego pobytu oglądał roboty na Wawelu, gdzie przybył w czcigodne mury zamku w poważnych dla monarchii czasach, po zwycięskiem odparciu nawały rosyjskiej z pod Krakowa. Następca tronu przyjechał na zamek w południe automobilem, kierowanym przez swego szwagra, księcia Parmy, w towarzystwie komendanta twierdzy, generała Kuka i sześciu oficerów sztabowych swej świty. U bramy, prowadzącej na dziedziniec zamkowy, czekali na przybycie arcyksięcia: prezydent dr. Juliusz Leo, delegat namiestnictwa dr. Adam Fedorowicz, zarządca zamku architekt Karol Skawiński i sekretarz zamku Adam Bogdani. Następca tronu przywitawszy się z nimi udał się na dziedziniec arkadowy, obejrzał go, jak również zewnętrzną architekturę zamku; wnętrza nie zwiedzał, gdyż zna je już z czasów ostatniego swego pobytu w Krakowie, t. j. w dniu 20. czerwca 1912 roku. Dostojny gość był zachwycony odnowioną architekturą zamkowego dziedzińca i nie szczędził słów uznania dla kierownictwa restauracyi Wawelu.

Po dokonaniu wspólnej fotografii, której odbitkę podajemy, całe wyż wymienione towarzystwo udało się na śniadanie do kasyna wojskowego. Zaszczytne dla Wawelu odwiedziny następcy tronu wiążą się w pamięci naszej z chwilą, gdy przed laty trzema dostojny gość zawitał na Wawel.

Pochlebne i serdeczne słowa, jakie wówczas o Wawelu powiedział, ujęły mu serca wszystkich i stwierdziły, że przyszły nasz cesarz zna dobrze stosunki kraju i umysłów polskich i że nawet powziął życzliwość dla tego, co Polacy mają najdroższego. Życzliwości tej dał arcyksiążę wyraz, że będąc obecnie na krótko tylko w Krakowie, o Wawelu nie zapomniał.



Wigilia w Karpatach: Oficerowie sztabu i legioniści kompanii sztabowej przy wieczerzy.





Wigilia w Karpatach:
Kompania legionowa spożywa wieczerzę wigilijną na polanie górskiej pod Ökörmező przy prowizorycznie ustawionych stołach.
Pogawędka po wieczerzy wigilijnej w stajni, przemienionej przez trzeci szwadron kawaleryi Legionów w jadalnię.



Wigilia w Karpatach: Wieczerza w kwaterze sztabu Legionów. Siedzą (dokoła stołu, od strony lewej ku prawej): nadintendant Wischek, komendant Legionu eksc. Durski, szef sztabu kap. Zagórski, nadoficyał Kasperlik, porucznik Szwarc, porucznik Torma, chorąży Wigurski, chorąży Łepkowski. Stoją: chorąży Klein, porucznik hr. Krasicki, dwaj telefoniści, por. dr Merwin, lekarz sztabowy dr. Rogalski, porucznik Żmigrodzki

Wigilia w Karpatach.

Już dawno po świętach, po wigilii, Nowym Roku i Trzech Królach, ponieważ jednak dzisiaj dopiero mogę do Was pisać, kreślę w paru zdaniach to, co przeżyłem.

O tem, gdzie jesteśmy i jakie nasze trudy były i są, wiecie z gazet, z komunikatów, piszą o nas skąpo, wystarczająco, by wiedziano, iż egzystują nasze dwa pułki, dwa szwadrony, artylerya i karabiny maszynowe.

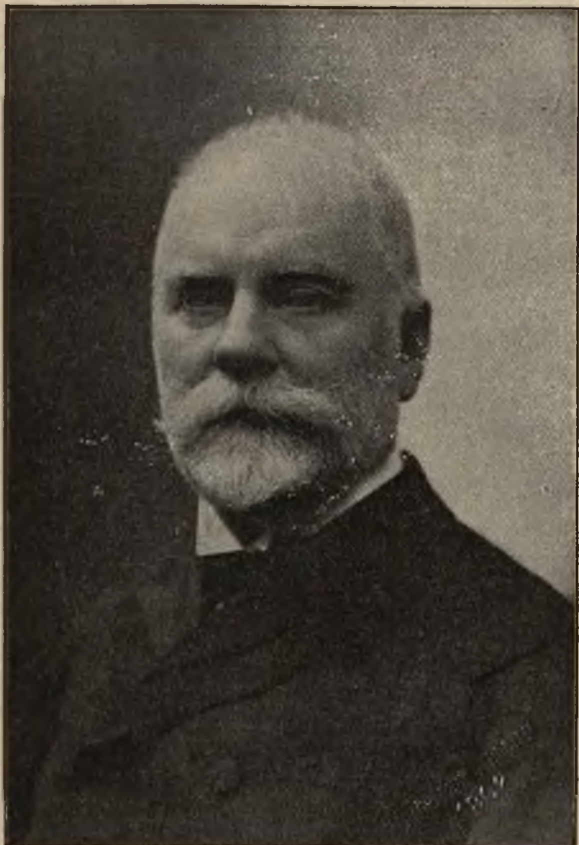
Z pod Jaworowa w przeciągu 48 godzin znaleźliśmy się na naszych pozycyach pod Ökömező, przed nowym, wypoczętym wrogiem. Zaczęło się dokładne okopywanie, posuwanie, zdobywanie literalnie każdego metra ziemi, podczas, gdy nieprzyjazne niebo wylewało na nas strugi wody. Stało się po kostki w błocie grzązkiem, nocami zapadały gęste mgły, a przenikając do ciała, były przyczyną wysilenia żołnierza, już i tak zmęczonego walką. Ale trudno, nie dał nam los, czy przeznaczenie, jak braciom z pierwszego pułku, walczyć na otwartych przestrzeniach między swoimi.

Koniec grudnia, przeszło dwunastodniowe, bez przerwy utarczki, zbliżają się Swięta, bezśnieżne, smutne, wreszcie 24-ty. Oczy nasze błądzą po twarzach drugich, usta chcą wiele powiedzieć, każdy jednak chyli powieki, ucieka — usiłujemy zapomnieć o tem, iż dzisiaj wigilia. Wreszcie jeden drugiemu podaje wiadomość, iż o północy na pozycyach nasz kapelan odprawi pasterkę. Smutno. Dzień przedtem grzebaliśmy poległych kolegów. Pójdziemy.

Byłem w tem szczęśliwem położeniu, iż mi pozwolonem zostało odprawić wigilię wraz ze swoimi żołnierzami w chacie chłopskiej. Stół, przykryty ręcznikiem, moskale, sardynki, biały chleb, parę flaszek piwa, opłatki apteczne, po które trzeba było

jechać 48 klm. w jedną stronę i rarytas... łazanki z makiem.

Niejedną chwilę już przeżyłem, widziałem łzy radości zwycięzców i witających, łzy za kolegą poległym, ale łez takich nigdy! Zaczęliśmy kolędy, niedośpiewana umilkła jednak pieśń, a więc patrzę na twarze żołnierzy. Łzy! Ci weseli zawsze, czupierni chłopcy, pełni brawury... we łzach.



Dymisya dra Bilińskiego: Ustępujący wspólny minister skarbu, eksc. dr. Leon Biliński, domniemany nowy prezes Koła Polskiego we Wiedniu.



Polacy w szpitalach monarchii: Ranni Polacy w szpitalu w Bernie na Morawach. (X) Dr. Gabryszewski ze Lwowa.

Próbuję sam śpiewać, ale głos mi jakoś niedomaga — milczenie.

Ktoś próbuje opowiadać, nic się jednak nie klei.

Koło godziny jedenastej znalazłem się na gościńcu wiodącym do Ökörmezö, trzeba się było spieszyć, chcąc przyjść na czas do miejsca, w którem miał być ustawiony ołtarz. Cicha, niema noc, tak ciemna iż na parę kroków nic widać nie było, pod stopami miejscami chlupoce błoto, albo trzeszczy śnieg. Wreszcie po długiem wdrapywaniu się pogwar jakiś cichy, lekkie chrząkania, a więc tutaj. Wymijam szeregi żołnierzy. Jakiś szałas zbity z gałęzi sosnowych... kościół legionów, którego filarami sosny omszone, a sklepieniem, to ciemne, bezgwiezdne niebo. Ktoś rzekł: „cicho“ i cisza taka, iż słyszy się czyjeś dalekie kroki po rozmokłym stoku.

Jakiś brzęk — to kapelan nasz zaczął mszę, a żołnierz w braku dzwonka bagnetem uderza o flaszkę — słychać słowa modlitwy. Cisza, zginają się kolana i jakiś szept idzie, jakieś westchnienie słychać jeno, nie widać nic, tu, przed nami, ale patrzymy dalej, daleko, przez ciemność, przez mgłę i góry.

Może to trwało pięć minut, godzinę, nikt nie pamięta. Wtem ciszę przerwał przemiły głos naszego kapelana i tu, w bliskości śmiertelnego wroga, na obcej ziemi, ze skołatanych naszych piersi buchła pieśń radosna, odbijając się echem po odległych szczytach.

„Podnieś rękę Boże dziecię,
Błogosław Ojczyznę miłą“.

Zawiele już dla nas, zawiele, w tym dniu.

Schodzimy powoli na dół do swoich kwater, a ci, którym służba wypadła, do okopów, lub na patrole. *A. Grzybowski.*

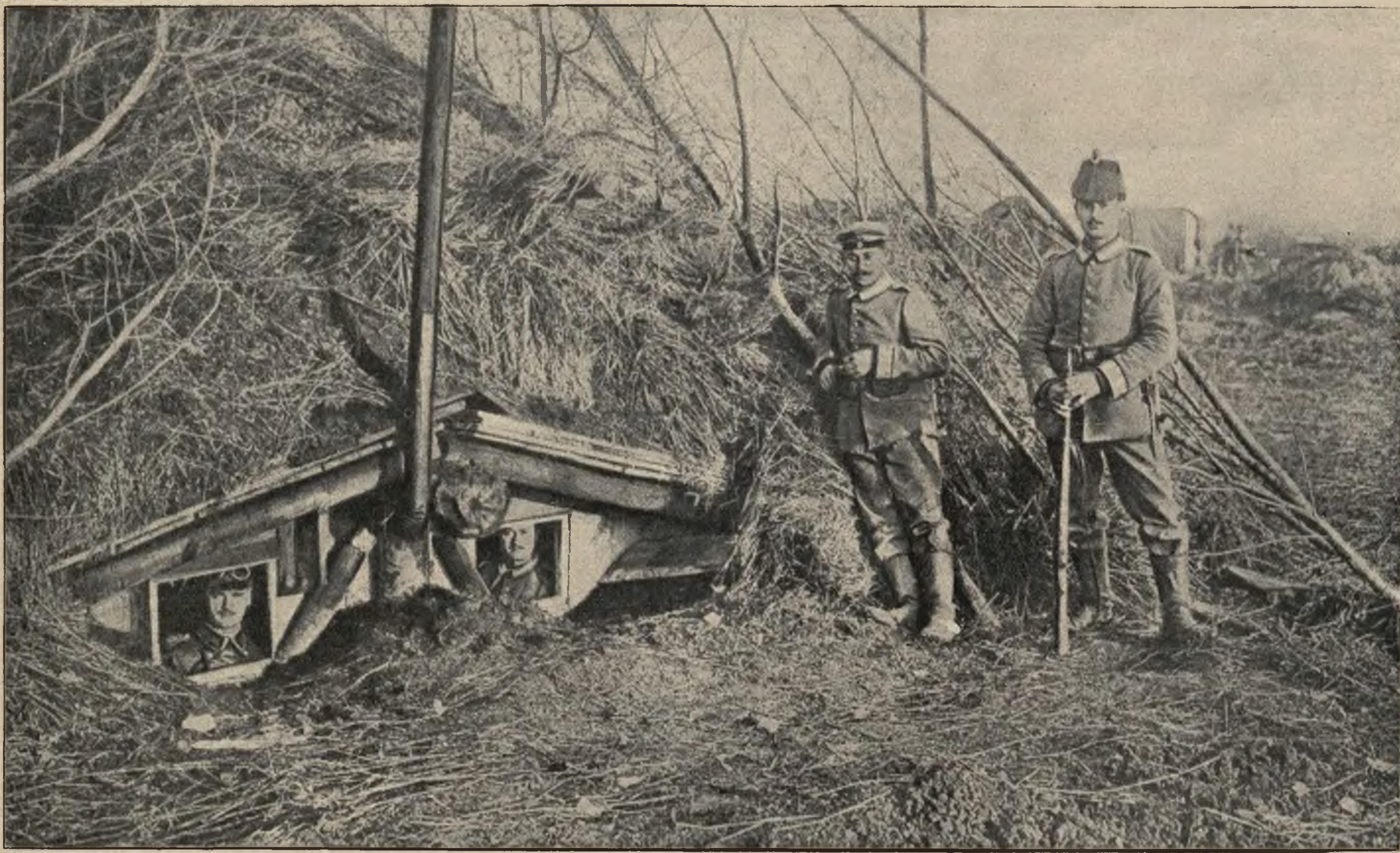
Dymisya dra Bilińskiego.

Ustąpienie dra Bilińskiego z zajmowanego przezeń dotąd z takim pożytkiem dla monarchii stanowiska wspólnego ministra skarbu, o czem w poprzednim numerze wspominaliśmy, jest już faktem dokonanym.

Wiedeńska gazeta urzędowa ogłasza też pismo odręczne Cesarza do bar. Buriana, zawiadamiające o zwolnieniu z urzędu dra Bilińskiego i zamiano-



Turcya przeciw trójporozumieniu: Atak Arabów na wojska angielskie w pobliżu kanału Suezkiego.



Obrazki wojenne „Willa“ pod ziemią na pozycyi.

waniu jego następcy w osobie dra Ernesta Körbera, byłego prezydenta austryackich ministrów i kierownika ministerstwa spraw wewnętrznych i sprawiedliwości.

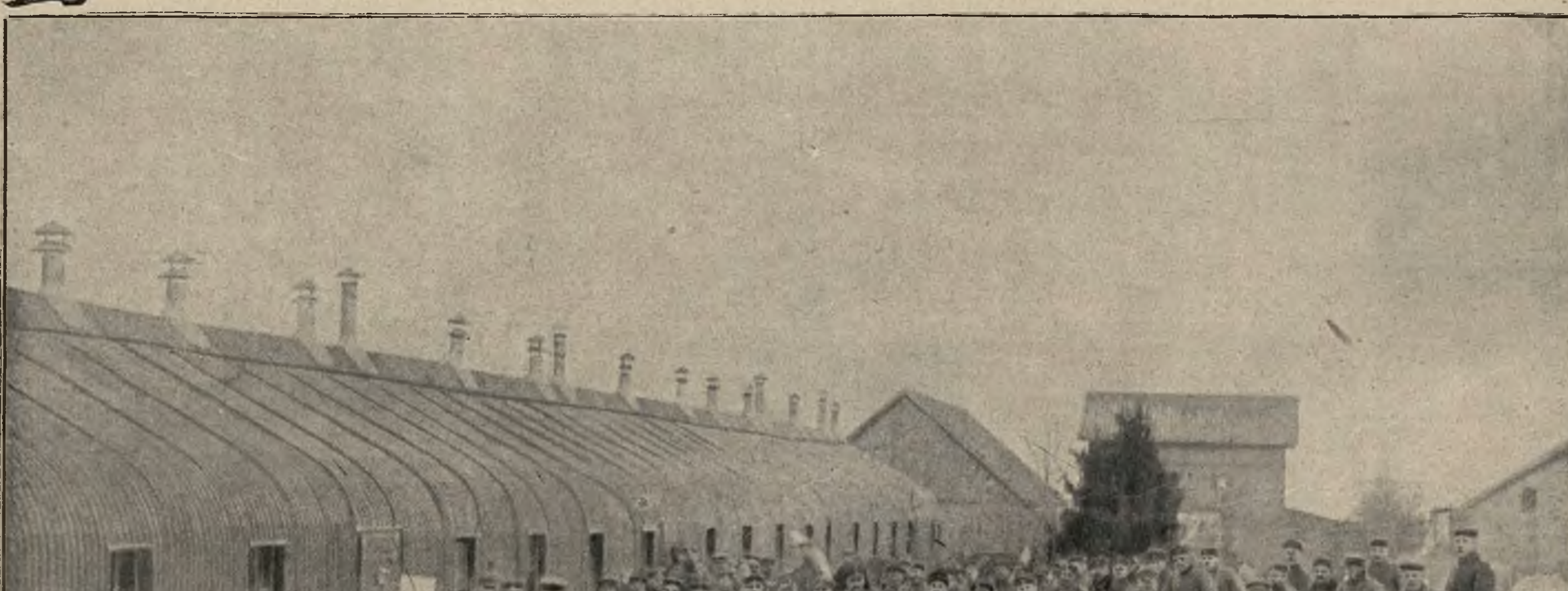
Równocześnie zwraca się Monarcha i do ekscellencyi Bilińskiego i w serdecznych słowach wyraża mu uznanie i podziękę za wierną i owocną służbę na zajmowanych dotąd stanowiskach.

Dr. Biliński nie ustępuje jednak zupełnie z widowni politycznej, owszem, jeśli kiedy, to właśnie teraz, jako prezes Koła Polskiego, może odegrać nader ważną rolę, jest to bowiem polityk pierwszej wody, cieszący się uznaniem najwyższych sfer i wszystkich stronnictw bez wyjątku.

Choć zaawansowany w latach, odznacza się dr. Biliński prawie młodzieńczą energią, idącą w parze z męskiem doświadczeniem i nadzwyczajną pilnością oraz troskliwością o dobro naszego kraju.

Dowodem zaufania, jakie wszyscy żywią do osoby dr. Bilińskiego, jest onegdajsza uchwała polskiej grupy demokratycznej Koła Polskiego, postanawiająca przy wyborze prezesa oddanie solidarne głosów na niego. Ponieważ zaś nie jest eksc. Biliński obecnie posłem parlamentarnym, musi zostać odpowiednio zmieniony statut Koła, przyczem zapewni się także prezesowi więcej samodzielności, niż jej mógł mieć dotąd.

Nominacyę dra Bilińskiego prezesem naszej wiedeńskiej reprezentacyi powita cały kraj z niekłamaną radością.



Obrazki wojenne: Zaimprowizowany koncert na terenie walk w Prusach wschodnich.

JÓZEF LASOŃ.

Ostatni list.

(Ze wspomnień Legionisty).

2

Jeździec szarpnął gwałtownie lejcami, osadził konia na miejscu. Przez chwilę stał nieruchomo, wpatrując się bacznie w okolicę. Spostrzegł mnie. Zerwał koniem błyskawicznie, usiłując nawrócić. Koń począł parskać, stawiając opór jeźdźcowi. Ugodzony boleśnie ostrogami, puścił się galopem.

Wypaliłem wtedy z karabinu.

Zerwali się moi żołnierze, podbiegli ku mnie.

Patrzymy za jeźdźcem. Koń, po strzale przerażony, wspiął dęba, usiłując jeźdźca zrzucić. Żołnierz jęknął boleśnie, wypuścił cugle z rąk, rozkrzyżował ręce, pochylił się, chwiał się przez chwilę na galopującym koniu, potem runął na ziemię. Przez chwilę wlókł go koń za sobą, głowa uderzała po gościńcu, gdyż noga żołnierza zaplątała się w lejce. Wkońcu pękły rzemienie, jeździec pozostał na środku drogi, koń zaś w szalonym pędzie poleciał dalej.

Przebudzony Liszka, wyciągając się na słomie, przetarł zaspane oczy, ziewając, wymyślać począł:

— Psiekrwie! Spać nie dajecie. Nachodzi się człowiek przez cały Boży dzień, nie wyspi się nigdy dobrze, a jak czasem kwaterę jaką taką się dostanie, to oni, zamiast spać, gadają i gadają.

Przewrócił się na drugi bok, usiłując zasnąć.

— Chodź że Liszka — zaczęli go wołać - Chodź, przysłuchasz się, co Kulczyk zwojował. Spać będzie dość czasu w... mogile.

— E... — mruknął niechętnie.

Ale Kranc pochwycił go za nogi, przyciągnął po słomie do nas. Przysiadł się wkońcu, udobruchany papierosem.

Gospodyni ciekawie wystawiła głowę z pod pierzyny, szepcząc coś do ucha mężowi. Oboje nie spali już od dłuższego czasu, przypatrując się nam i pilnie słuchając opowiadania Kulczyka.

Mimowoli podsłuchałem, jak szeptała do męża:

— Wisz co, Maciek, to ci te chłopoki ani po siedemnaście roków nie mają i już są na wojnie. I to jeszcze takie mizeroki niektórzy. Słyszałeś, co ten mały tam opowiada?!

— Słyszałem.

— Moskola zabił.

— A jakże!

— Nie boi się kozoków?

— Pewnie! Kiej ich zabijo, to sie ta i nie boi.

Kulczyk na chwilę przerwał opowiadanie, wyciągnął skórzaną tytonierkę, skręcił papierosa. Zrobiliśmy i my papierosy i otaczając się kłębami dymu, słuchaliśmy dalszego opowiadania Kulczyka.

Gospodyni zapytała coś gospodarza, ale ten ją niechętnie odtrącił ramieniem, mówiąc:

— Słuchaj... słuchaj, będzie opowiadał.

— A jak tam dalej, panie tego — roześmiał się Liszka, gdyśmy mu początek przygody Kulczyka opowiedzieli.

— Więc słuchacie dalej!? Co? — zapytał Kulczyk, gdy się w izbie uciszyło.

— A jakże! Gadaj tylko... gadaj!

Na kominku ogień trzaskał, rozrzucając iskry. Dobroczynne ciepło rozchodziło się po izbie. Na dworze zaś wicher jęczał, deszcz nieustannie padał.

Z zadowoleniem przysunęliśmy się do ciepłego kominka, cierpliwie czekając, póki Kulczyk nie rozpocznie dalszego opowiadania.

— A no, wiecie — ciągnął dalej — powoli podeszliśmy do zwalonego z konia jeźdźca, z karabinem gotowym do strzału, z nasadzonym bagnetem. Leżał na ziemi, twarz w błoto miał zarytą, widocznie przy upadku z konia chciał się podźwignąć, jednak siły go opuściły i upadł twarzą w kałużę błota. Poruszyłem go ręką. Konał już. Chrapliwy, świszczący oddech wyrywał mu się z piersi. Charczenie takie nieprzyjemne, że aż otrząsłem się cały. Dreszcz mnie przeszedł jakiś dziwny po ciele.

Ślepą latarką oświetliłem go. Był to ułan rosyjski. Wzrokiem począłem szukać rany, i, nie uwierzycie doprawdy, gdziem go trafił.

— Pewnie w kieszeń — zaśmiał się Liszka.

— Albo w serce? — Kranc poważnie zapytał.

— Nie! Zgadnijcie?

— To w głowę, albo w brzuch — odparłem — gdyż to są śmiertelne rany, a on, jak sam powiadasz, gdyście do niego przybiegli, konał już. Więc musiał być śmiertelnie zranionym, inaczej byłby jeszcze żył i nie utraciłby przytomności.

— Nie!

— Więc gdzie?

— Zgadnijcie!...

— No powiedz, powiedz! — niecierpliwie na niego poczęliśmy nalegać.

— W ka... ka... ra... bin... — powoli cedził przez zęby Kulczyk.

— W karabin!? — niedowierzająco spytaliśmy.

— W karabin! — odparł dobitnie.

— Ha... ha... — zaśmiał się Liszka — W karabin żołnierza trafił i zabił go. Toś wesoły sen miał. Z karabinu krew się lała, a żołnierz, z rozpaczy, że karabin został zabity... skonał... serce mu pękło... Ha... ha...

— Tak jest, w karabin — mówił Kulczyk, nie zważając na śmiech Liszki — a jeśli nie wierzycie, niech poświadczą ci, którzy ze mną byli, albo chodźcie ze mną, trzy kwadranse drogi stąd, leży on tam jeszcze. Zresztą, rano go pochowamy, to będziecie widzieć!

— Ten karabin zabity — drwił w dalszym ciągu Liszka.

— Przestań, Liszka, przestań! — upomnieli go.

— Trzeba było dać mi spać! He... he... he...

— Otóż tak. W karabin, przewieszony przez plecy, trafiła kula z mojego karabinu. Uderzyła w lufę, ześlizgła się po żelazie, oderwała kawał drzewca i wpadła w plecy Moskala, rozszarpując straszliwie ciało, pogruchotała kości.

— Musiała na płask uderzyć — zauważył Kranc — Dlatego takie straszne skutki jej były.

— Tak właśnie. Kula, odbiwszy się od żelaza, straciła prosty bieg i uderzyła w plecy na płask. Krew sączyła się obficie z jednej, wielkiej rany. Strzępy z munduru zabarwiły się od krwi. Wspólnie odwróciliśmy go na wznak, ale już przestał zupełnie oddychać. Ciało ciepłe jeszcze było, jednak powoli już stygło, wyprężało się, wyciągało.

Oświetliłem mu twarz.

Oczy na pół otwarte, twarz pokurczona z bólu, odmalowywała przerażenie w ostatniej chwili życia. Usta, wykrzywione boleśnie, jak gdyby jakieś niedokończone słowo, okrzyk przerażenia, czy też bólu strasznego, na pół urwany, skonał na wargach.

Młody był. Mógł mieć około dwudziestu trzech lat, o rysach twarzy pospolitych i rudym zaroście.

— Tak niby, jak ty! — przerwał mu Liszka.

— Cicho, Liszka, cicho — skarcili go.

— Chwilę staliśmy nad nim — opowiadał dalej Kulczyk — póki nie zastygło zupełnie ciało.

Trzeba przeszukać kieszenie — pomyślałem — może się znajdzie coś ważnego dla nas.

Rozpocząłem rewizyę.

W bocznej kieszeni miał portfel skórzany. Wyjąłem go i otworzyłem. Kartka papieru wypadła na ziemię. Podniosłem ją, starannie obcierając z błota, otworzyłem. Był to meldunek, po rosyjsku pisany.

— To będzie coś ważnego. — zauważyłem. — Trzeba będzie zaraz komendantowi oddać. Szkoda, że po rosyjsku nie umiem, wiedziałbym zaraz treść tego meldunku.

W środku portfelu zapieczętowany list był i oprócz tego wysypało się ośem rubli. Zabrałem to wszystko i już mieliśmy odejść, aby czemprędzej zdać raport kompanijnemu, gdyż kto wie, jak ważne wiadomości mogły być na tej kartce meldunkowej, gdy jeden z żołnierzy zwrócił mi uwagę, że obok zabitego buty całkiem nowe leżą w błocie. Widocznie zapasową parę butów miał przytwierdzoną do siodła, a ta podczas upadku dragona z konia, odwiązała się i spadła razem z nim na ziemię.

— Jemu i tak niepotrzebne już będą — pomyślałem w duchu — a ja prawie boso chodzę.

Zabrałem tedy buty, leżące na ziemi. Cóż było robić. Moje dyabła warte – usprawiedliwiał się przed nami — a on ich zupełnie już nie potrzebuje. Umarłemu nie potrzebne już buty. A przecież każdyby z żołnierzy to zrobił, nie tylko ja. Boso przecież nie sposób chodzić!

— Tak, tak. — potwierdziliśmy — Wojna nie zna sentymentalnych uczuć.

Położyliśmy go potem w rowie, przykryliśmy cośkolwiek liśćmi zeschłymi, gdyż nie było czasu na grzebanie. Przyszliśmy na kwaterę, zdałem raport dyżurnemu, oddałem meldunek z portfelem i pieniądzmi, a buty i list zachowałem dla siebie

Ale widocznie — dodał po chwili — coś ważnego musiało być w tym meldunku, gdyż natychmiast zbudzono adjutanta i batalionowego i teraz jakaś narada tam się odbywa.

— Masz ten list? — zapytałem.

— M..m!...

— Pokaż go!

— Poco?

— Przeczytamy go.

— Nie wiem, czy po polsku pisany. Jeśli po rosyjsku, to żaden z nas i tak czytać nie umie!

— Pokaż, zobaczymy!

— Jak chcesz.

Wyciągnął z kieszeni list, podał mi go z niechęcią.

Ująłem pomięty, zatłuszczony list w dłonie, wpatrzyłem się w pozamazywane litery. Adres pisany był po rosyjsku.

— Może kto umie po rosyjsku, albo po rusku — spytałem — bo ja nie mogę się poznać na tych gryzmołach.

Kranz spojrzał na adres, literę po literze składając, odczytał adres. List był adresowany do Warszawy.

Otworzyłem kopertę, wydobyłem kartki papieru ze środka. List pisany był po polsku. Kulczyk przystawił bliżej świecę, potem wyciągnął się na słomie, ręce skrzyżował pod głową i ziewnął przeciągle.

Cisza zapanowała w izbie.

Głęboka cisza.

Chłop podparł głowę rękami, spoglądał raz na mnie, drugi raz na Kulczyka.

Rozłożyłem list na ławie, począłem wpatrywać się w pozamazywane litery, ręką niewprawną stawiane, gzygzaki jakieś niekształtne. Słowa przesuwały się przed moim wzrokiem, łączyły w zdania.

Trudne były do odczytania, widocznie list był dłuższy czas już napisany, i, dzieląc dolę żołnierską, zestarzał się i przyniszczył, zbrudził.

— No, zacznijcie tam ten list czytać — mruknął Liszka — bo człowiek znowu się nie wyspi. A wy, byle głupstwem zawracacie głowę i spać mi nie dajecie!

— Temu się wiecznie spać chce — odezwał się Kranz — Cóż ty człowieku, poza tem spaniem nic nie widzisz?

— I... bo... u was zawsze sentymenta w głowie. Rozwodzicie się nad byle czem i tyle. Wojna na to, aby zabijać. Nie zabijesz ty, zabiją ciebie. Nie ma się dla wroga litości i kwita. Jeszcze dla takiego wroga, jak Moskal. Jabym chętnie za rzeźnika się zgodził, ale do takiego szlachtuza, gdzieby Moskali na zabicie przyprowadzali. Tych rdzennych Moskali, co nas Polaków tak kochają... My, Polacy, powinniśmy do ostatniego tchu porachunki z nimi robić. Zawsze i wiecznie. Przez dziesiątki lat litości my nie zaznali, mamyż ją teraz dawać? Póki jeden Polak żyw — to dalej na Moskala. Odwieczny to wróg, zębami trzeba rwać, kąsać, póki tchu... ale nie w sentymenta się bawić. Zabił Kulczyk Moskala, chwała Bogu, jednego ciemięzcy naszego mniej, a zresztą skorzystał na tem, bo Moskal jego nie zabił.

Zaczęła się dysputa.

Liszka wlazł na ulubionego swojego konika. Jak się czasami rozgadał, to do słowa nikomu przyjść nie pozwolił.

Wstał z posłania, splunął na podłogę i, zwracając się do gospodarza, przemówił:

— Prawda ojciec, tylko tych Moskali rżnąć i rżnąć! A wyście to mało nieraz ucierpieli od nich, prawda ojciec... he?

— A juści, prawda, święta prawda, kochany panie wojaku — odparł chłop, drapiąc się w głowę — Nacierpiał się człowiek, nacierpiał. A będzie temu już dwa roki, jak mi chłopaka zabrali, że jakieś gazetki przechowywał. Stawałem ci ja i do sądów, i adwokatów płaciłem, i do chałupy co chwila przyjeżdżali, rewizye mi robić. Czy ja nawet wiem, co to za gazetki były. Chłopak mój przez parę roków w Sosnowcu w kopalni robił i na święta przyjeżdżał do domu. A przywiózł ze sobą jakieś gazetki, co po wsi rozdawał. I ktoś tam w cyrkule powiedział o tem i zaraz go wzięli. I ja się w areszcie wysiedziałem, a Bóg mi świadkiem, żem o niczem nie wiedział. A chłopaka mi na Sybir wysłali i tam się zmarnił. Prawda, matka? — zwrócił się do żony.

— Oj! oj! — westchnęła kobieta — Nacierpieliśmy się, nacierpieli. A niczego mi tak nie żal, jak mojego Staszka. Jedynak był... i tak zmarnił się. A taki dobry chłopak był. Każdego pierwszego pieniądze nam posłał. Za jakieś tam głupie gazetki chłopaka mi zmarnili.

— Cóż to umarł, na Sybirze?

— Tak, panie! Niedługo wytrzymał. Pewnie go bili, złodzieje!

— Widzicie — zwrócił się Liszka do nas — Wieczna tragedya w narodzie naszym. Jak człowiek wspomni, och... to psiakrew, aż krew się ścina w żyłach.

— Baczność! — zakomenderował Kulczyk — Zaczynamy czytanie, a ty śpiochu, w lewo front i wio na słomę.

— Już mi się spać nie chce! Bom sobie krew na parę godzin zaburzył. No, czytać, jak tam nie ochotę.

— Dobrze! Dyskusyę później prowadzić będziemy.

Uciszyło się w izbie, Liszka wyciągnął się na słomie i przysuwając się do Kulczyka, poklepał go po ramieniu.

— Dobrze bracie! Tylko wal, a o nic nie pytaj.

Rozpocząłem czytanie:

„Drodzy, kochani Rodzice!*)

Pozdrawiam Was serdecznie i całuję po niezliczone razy, a teraz donoszę, że zdrów jestem, tylko strasznie zmęczony już tą wojną i proszę Pana Jezusa, aby się to jak najprędzej skończyło. Nie będę Wam teraz dużo pisać, ale jak Pan Bóg i Matka Boska pozwoli i wrócę do domu, to dokładnie opowiem, jakiej biedy człowiek się nacierpi i poniewierania.

A teraz się zapytuję, czy Franka służy jeszcze na Krakowskiem Przedmieściu u państwa doktorów, i czy mi wierną jest i czy przychodzi do Was, o mnie się dowiadywać, bo tylko jeden list od niej dostałem jeszcze w sierpniu, a teraz to nie mam żadnej wiadomości, ani od Was, ani od niej. Mam ufność w Panu Jezusie, że po wojnie wrócę do domu i o to codziennie Pana Boga proszę, bo chciałbym jeszcze parę roków pożyć i z Franką się ożenić. Opiszcie mi, czy w domu...“

Dalej odczytać nie można było, zamazany był, zniszczony przez deszcze.

Po przeczytaniu zapanowała przykra chwila milczenia. Tak jakoś głupio nam się zrobiło i nieswojsko. Kulczyk, słuchając uważnie słów odczytywanych, po ukończeniu podniósł się ze słomy i nerwowo paląc papierosa, począł przechadzać się po izbie.

— To Polak był — zauważył Kranc.

— A tak! — odparłem obojętnie.

— Trudno. To wojna — przerwał milczenie Liszka — Polak, nie Polak... Trudno... wojna. Cóż poradzić na to... Nie my temu winni, że taka tragedya w narodzie polskim. Że wróg nasz braci naszych w szynel żołdacki ubrał i kazał im iść przeciw nam... nie my temu winni. A z tą chwilą, kiedy jest żołnierzem naszego odwiecznego wroga, jest narzędziem ślepem w jego ręku, które to narzędzie trzeba zniszczyć... usunąć... bo przez narzędzie swoje wróg nasz zwyciężyćby mógł. Jeśli idzie o dobrą sprawę, jeśli idzie o zwalczenie barbaryzmu, trzeba na ołtarzu poświęcić... dużo trzeba poświęcić. Zresztą, czasem w jednym i tym samym narodzie walki powstają, tak jak rewolucya francuska i inne. Czasami przykre to poniekąd, ale obecnie, ubrani w szynel moskiewskiego żołdaka są wroga naszego narzędziem, a zatem naszymi wrogami!

— To niech dezerterują — zwrócił się do Liszki Kranc — Niech dezerterują, a tem samem dobrej sprawie się przysłużą i wrogowi osłabią siły.

— Toż przecie robią! Masami się poddają.

— E... psiakrew — mruknął Kulczyk — Żeby się tak zbuntowali, wywołali bunt w armii, tobyśmy prędko z Moskalem skończyli. Do pioruna byśmy ich wygnali.

— Nie tak to łatwo im się zbuntować. Porozdzielali tak Polaków, że po pułkach małe siły. Inaczej by to było. Moskale wiedzą, co my Polacy czujemy w sercach dla nich. A zresztą, armie sprzymierzone nie potrzebują czekać na bunt w armii rosyjskiej. Jak Moskale dostaną cięgi, to im się prababka w Petersburgu przyśni. A bunt, to dopiero po wojnie, aby zgnieść zupełnie carat.

— Trudno, wojna — mruczał pod nosem Kulczyk.

Podniosłem wzrok na Kulczyka. Twarz miał na pozór obojętną, oziębłą, ale w oczach miał ten wyraz, któregom się po nim spodziewał. Spojrzeliśmy sobie w oczy, długo, przeciągle, przeszyliśmy się spojrzeniem i zrozumieliśmy się.

Cisza zapanowała w izbie.

Smutnym wzrokiem spoglądałem na pomięte kartki listu, na zaadresowaną kopertę. Wżarła się ta chwila w duszę, głęboką ranę otworzyła mi w sercu, ranę, która się nigdy nie zabliźni, nigdy nie zagoi.

Cicha... przykra chwila!

Tylko w mózgu myśli plątały się dziwne, wspomnienia poczęły napływać. Rozigrały się, w fantastyczne poczęły splatać wieńce — takie dziwne — niebywałe.

Oddałem mu list w milczeniu.

Złożył go, do koperty włożył i do kieszeni wsadził.

— Cóż z nim zrobisz? — spytałem po chwili.

— Czy ja wiem, co!

— Nie wiesz!?

— Cóż mam zrobić? Schowam.

— Schowasz...

— Na pamiątkę!

— Wiesz co?

— No?

— Posłać go tym, dla których był przeznaczony. Niech tą ostatnią pamiątkę zachowają po nim. Dla ciebie nie ma to żadnej wartości!

— To prawda. Dla mnie nie ma takiej wartości. Tyle rozmaitych pamiątek można mieć z wojny. Zresztą, Bóg wie, czy ja wrócę? Bóg wie!

— To go poślemy!

— Adres nieczytelny, kto wie, czy dojdzie!

— Adres się poprawi i odda się list poczcie polowej, a poczta się postara, żeby doszedł.

— Teraz trudno będzie — odparł ozięble — Chyba gdzieś po wojnie.

— Tak, ale gdy teraz dostaną, łudzić się przynajmniej będą. Przynajmniej przez czas wojny w nadziei żyć będą.

— Czasem lepiej najgorszą prawdę znać, niśli najlepszą nadzieję posiadać.

— To i to prawda!

— Trudno, wojna — mruknął, przewracając się na bok.

— No, słuchajno?

— Co chcesz?

— Więc co z listem?...

— Jak chcesz. Wszystko jedno. Możemy go w najbliższym czasie posłać. Mnie wszystko jedno. Jak chcesz.

Zdmuchnął świecę, podłożył tornister pod głowę, wyciągnął strudzone ciało. Położyłem się obok niego i próbowałem usnąć. Ale sen odbiegł zupełnie. Przed oczyma przesuwały się pokoślawione litery, zlewały się w słowa, zdania:

„Pozdrawiam Was serdecznie i całuję po niezliczone razy... Mam ufność w Panu Jezusie i Matce Boskiej, że po wojnie wrócę i o to codziennie Pana Boga proszę... bo chciałbym jeszcze parę roków pożyć...

Chciałbym jeszcze parę roków pożyć...“

Kranc, leżący przy kominku, chichocząc, szeptał do kolegów:

— Wiecie co?

— No!

— Będziemy mieli dla Kulczyka nowe pseudo!

— Jakie?

— Będzie hecy z niego niemało!

— Jakie pseudo?

— Będziemy wołać na niego: „Oddaj buty!“ Hi... hi... hi... Oddaj buty! Kulczyk oddaj buty!... Hi... hi... — śmiał się.

Kulczyk przewracał się na posłaniu z boku na bok, od czasu do czasu głęboko westchnąwszy.

Do rana tak przeleżeliśmy.

Kiedy szarzeć poczęło na dworze, Kulczyk powoli z posłania wstał. Przetarł oczy, ziewnął przeciągle. Popatrzył uważnie na buty. Ślady, czerwone plamy, znać było jeszcze na nich. Wyciągnął z tornistra kawałek szmaty, zwilżył we wodzie, wytarł buty, wyczyścił. Oczyścił również mundur z błota, twarz wytarł ręcznikiem, potem powoli spakował tornister.

Mruczał coś pod nosem do siebie, przechadzając się po izbie, przypatrywał się nowym butom.

— Dobre będą, silne są! Wystarczą na całą wojnę — monologował.

Z zainteresowaniem śledziłem go wzrokiem.

Zadumany po izbie spacerował, rękę do kieszeni włożył. Wydobył paczkę papierów z portfelem, pod okno się podsunął. Przeglądać począł nagromadzone papiery, wyciągnął ze środka list.

Przeczytał go uważnie, przeczytał. Był to list, pisany poprzedniego wieczoru do rodziców. Przeglądnął uważnie, co napisał.

Może porównywał list ten z listem zabitego żołnierza?

Nie wiem!

A może niejedne w tym liście słowa były zawarte i w tamtym liście?

Nie wiem! Może...

Potem westchnął głęboko i z ust jego wydobyły się przytłumione słowa, jak echo, głuche, posępne:

— Trudno... wojna!...

. . . .

— A i on... list do rodziny napisany miał, a Bóg wie... może to ostatni — pomyślałem wówczas, patrząc na zadumaną twarz przyjaciela.

Bóg wie!?

Może to ostatni!...

. . . .

Szybko zebrał się, płaszcz wdział, tornister naciągnął na plecy, obejrzał uważnie karabin.

— Hej, chłopcy, wstawać! — zawołał — Już czas! Wstawać!

Zerwaliśmy się z posłania, z żalem rzucając wygodne, jak na wojenne czasy, łoże, ubierając się pospiesznie. Zawrzało w chacie, jak w ulu. Na rozpalonym kominku garnek wody przystawiono, aby ugotować herbaty.

— Dużo czasu jest jeszcze? — zapytał Liszka.

— Za pół godziny będzie zbiórka, teraz idę placówki ściągnąć!

— A serwus. Kulczyk — wesoło ciągnął Liszka — Oddaj buty! He... He...

— Daj spokój!

— Co!?

— Przestań!

— To oddaj buty! Cóż ty myślisz, że ja boso będę chodzić! Dawaj buty.

— Hi... hi... — zaśmiali się.

Gospodarz powstał z łóżka, przyniósł chleba, masła, ugościł nas życzliwie, patrząc z podziwem na to wojsko, co to polskie jest. Rozgadał się z nami, jak gdyby lata jakie nas znał.

— Żebym tak chłopaka miał, co mi zmarnili te hycle, tobym go do was natychmiast dał. Niechby ta był z wami, z Polakami.

— Dalibyście syna?

— Pewnie, żebym dał!

— Dobrzeby mu z nami było. Krzywdy tu nie ma żadnej. Polskim żołnierzem by był.

— O! Że też to mój Staszek nie żyje! — przerwała kobieta — Toby zaraz z panami poszedł.

— Ja sam bym poszedł! — westchnął chłop — Ale cóż, nie poradzę! Starość, nie radość. A szedłbym z panami!

— To chodźcie ojciec — Liszka śmiejąc się życzliwie, zachęcał.

— Nie poradzę panie! Zawadzałbym tylko.

Pożegnaliśmy się z gospodarzem szczerze, po przyjacielsku.

— A przyjdźcie ta na noc! — na odchodnem zawołał.

— Bóg wie, gdzie jutro będziemy! Bóg wie!

Stanął w progu chaty, na pożegnanie mówiąc:

— Pan Jezus z wami! A wróćcie tam, wróćcie! Polskieście wojsko! Pan Jezus z wami!

— Oj, że też mój Staszek się zmarnił, że go te hycle umordowały. Tenby dopiero poleciał za nimi. Ze też te hycle go umordowały! — zawodziła gospodyni — tam by się dopiero bił, tenby ich tłukł... Że też to... umordowali...

* * *

Ściągnięto placówki, batalion ruszył w dalszą drogę. Niebo się wypogodziło, promienie słoneczne z poza chmur wyjrzały, ozłociły ziemię.

Posuwać się poczęły kompanie za kompaniami, z legowiska nocnego wychodząc, wieś żegnały.

Mieszkańcy z chat wyglądali, przypatrując się z ciekawością polskiemu wojsku, co Moskala bije.

Gdzieniegdzie wysunęli się z chaty, bochenek chleba, garnuszek masła żołnierzowi dając, życzą zwycięstwa.

— No, chłopcy! — wesoło krzyknął kompanijny — zaśpiewajcie na pożegnanie. Za dobry kwaterunek i za dobry wikt.

— No, Gruby, zaczynaj — przemówił Liszka.

Za chwilę pieśń wydarła się z piersi, ulubiona pieśń strzelecka:

Siwe mundury,
A w butach dziury,
Hej strzelcy... Hej strzelcy wraz...

Krakowskie strzelce
Zdobyli Kielce,
Hej strzelcy... Hej strzelcy wraz...

Wieś już pozostała w tyle za nami, zaprzestano śpiewać, rozpoczął się dalszy marsz. Dzień jasny... słoneczny... dusza się w człowieku raduje, uśmiech na ustach bezwiednie pojawia... zapomina się o wszystkim, co gniecie i boli.

Kolumna maszeruje ostro, żwawo, znać po twarzach ich, że wypoczynek przysłużył im się i dobry był.

Wesoło nam... Żyć się na świecie chce.

Tylko Kulczyk pochylił głowę, zamyślił się głęboko, smutkiem jakimś przygnębiony był.

— Oddaj buty! — zaśmiał się któryś z kompanii.

— Cicho! Cicho tam — głos plutonowego przerwał.

— Hej Kulczyk! Kulczyk — spytałem go — smutnyś?

— Nie!

Umilkł, pochylił głowę i pomaszerował dalej. Smutny był, bo i on list w kieszeni do rodziny pisany miał... a Bóg wie... może i ten list był ostatni.

*) List ten nie jest oryginałem. Jest tylko częściowo przytoczony, tak, jak dzisiaj go sobie przypominam

Turcya przeciw trójporozumieniu.

Turcya, decydując się na wypowiedzenie wojny trójporozumieniu, musiała dobrze obliczyć się ze swemi siłami, wiedząc o tem, że czeka ją z jego strony niejeden cios, który może być dla niej śmiertelnym.

I nie zawiodła się. W odpowiedzi na wkroczenie wojsk tureckich na Kaukaz i rozpoczęcie nieprzyjacielskich kroków na morzu Czarnem, oraz w stronę kanału Suezkiego, Anglicy pospieszyli się przedewszystkiem z ogłoszeniem niezawisłości Egiptu od Porty, zdetronizowali sympatyzującego z trójprzymierzem kedywa, Abbasa II. Hilmi, w miejsce zaś jego osadzili na tronie oddanego sobie zupełnie stryja poprzedniego, Husseina Kiamila, mianując go



Turcya przeciw trójporozumieniu: Nowy sułtan egipski, Hussein Kiamil, osadzony przez Anglików na tronie kedywów.

sułtanem, ale... malowanym, cała bowiem władza pozostaje w ręku rezydenta angielskiego, który jest istotnym szefem rządu i wodzem armii.

Egipt więc, o ile Turkom nie uda się pobić wojsk angielskich, stałby się *de facto* kolonią angielską, co jednak delikatnie nazywa się na razie tylko protektoratem.

Sympatye ludności egipskiej są przecież stale po stronie Turcyi i trójprzymierza, jemu życzy ona zwycięstwa, woląc protektorat turecki, który ograniczał się do rocznego haraczu, od angielskiego, równającego się zupełnej utracie samodzielności politycznej.

W Konstantynopolu liczą się z tem bardzo poważnie, ciągnie też w stronę kanału Suezkiego armia, której przednie straże ścierają się ciągle z mniejszymi oddziałami armii angielskiej i to ze stałem powodzeniem. Zwłaszcza oddziały dzikich Beduinów, zagrzane sułtańską fetwą do świętej wojny, nieraz już dały się porządnie we znaki najeźdźcom.

Ponieważ Anglikom grozi niebezpieczeństwo głównie od strony półwyspu Synajskiego, przeniesiono też w ostatnich czasach wszystkie urzędy angielskie, z nimi zaś i przedstawicielstwa trójporozumienia do Aleksandryi, gdzie łatwiej się obronić dzięki poparciu śródziemnomorskiej floty i skąd wygodniej uciekać, gdyby opór okazał się bezprzedmiotowym.

Równocześnie z akcyą, dążącą do uwolnienia Egiptu od angielskiej szarańczy, rozpoczęli Turcy



Z Galicyi i Królestwa Polskiego: Destylowanie wody przez wojsko niemieckie na rynku jednego z miasteczek Królestwa Polskiego.

energiczną ofenzywę na Kaukazie, popierając operacye armii lądowej działalnością swej floty, która dotąd nieraz już dała się Moskalom we znaki i zyskała sobie zaszczytne wzmianki w całej prasie europejskiej. Nie należy bowiem zapominać, że turecka flota czarnomorska ma bardzo utrudnione zadanie, zmuszona operować nie tylko przeciw liczebnie silniejszej rosyjskiej, ale nadto bronić wjazdu obcym okrętom do Dardanelli.

A że mają do tego wielką ochotę tak Anglicy, jak i Francuzi, tego dali już dowód, forsując wjazd do tej cieśniny, przyczem zatopiono, dzięki celnym strzałom z nadbrzeżnych fortów tureckich, jedną z francuskich łodzi podwodnych.

Pozatem grozi Turcyi inne jeszcze niebezpieczeństwo, mianowicie zachodzi obawa inwazyi rosyjskiej w stronę Adryanopola, a stamtąd marsz na Konstantynopol, co jednak mogłoby stać się tylko wówczas, gdyby Bułgarya pozwoliła na przemarsz wojsk rosyjskich przez swe terytoryum. Jest to jednak wykluczonem, rząd cara Ferdynanda oświadczył, że dochowa stanowczo neutralności.



Turcya przeciw trójporozumieniu: Sztab czarnomorskiej floty tureckiej z komendantem kontradmirałem Souchonem (X) w pośrodku i szefem sztabu admiralicyi Enwer-bejem (na lewo).



Obrazki wojenne: Żołnierz i pocisk 30·5 centymetrowego moździerza austro-węgierskiego.



Obrazki wojenne: Jeńcy najrozmaitszych narodowości w niewoli niemieckiej.

Od strony lądowej Turcy więc obawiać się nie mogą ataku na Konstantynopol, wybrzeży ich dzielnie broni flota, zostająca pod rozkazami kontradmirała Souchona i jego szefa sztabu admiralicyi, kapitana fregaty, Envera-beja, imiennika ministra wojny.

Starcia z nią obawia się też flota rosyjska, ograniczająca swe „operacye“ wojenne do ostrzeliwania otwartych miast nadbrzeżnych i bark rybackich, których niedawno kilkanaście zatopiono.

Pozatem na korzyść Turcyi przemawia, iż do walki staje z całym zapałem, uważając obecną wojnę za świętą i wiedząc, iż teraz właśnie nadarza się sposobność, by pomścić się za tylowiekowe ciemiężenie i tylokrotne upokorzenia, jakich nie szczędziły jej nigdy mocarstwa, należące do trójporozumienia.

Żołnierz turecki, chwytając za broń, wie, iż walczyć mu przyjdzie o sprawy najżywotniejsze swej ojczyzny i w tem właśnie ma przewagę nad rosyjskim, który, rzec można śmiało, przynajmniej w trzech czwartych jest zdemoralizowany i do walki zupełnie zniechęcony.

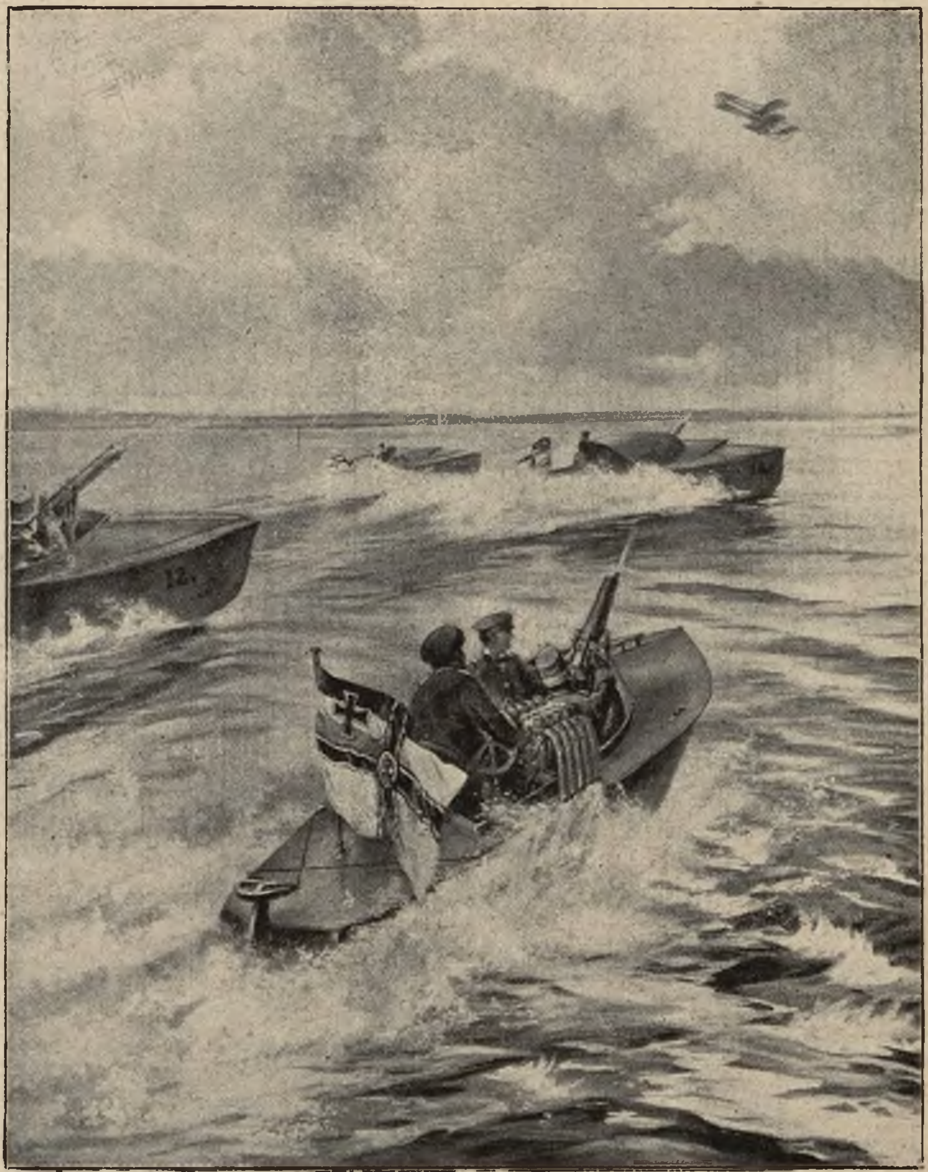
Także i ludność cywilna na całym obszarze ziem tureckich okazuje stale sympatyę trójprzymierzu, a dała temu wyraz, urządzając bardzo serdeczną manifestacyę w Jaffie, w Palestynie, przed budynkiem niemieckiego Banku palestyńskiego. Wzięło w niej udział tysiące ludności muzułmańskiej, nio-



Turcya przeciw trójporozumieniu: Demonstracya muzułmańskiej ludności miasta Jaffy na rzecz trójprzymierza przed budynkami niemieckiego Banku palestyńskiego.



Ważne zwycięstwo na terenie zachodnim: Dowódcy armii niemieckiej, operującej pod Soissons, jenerał Kluck i jenerał Bergmann.



Obrazki wojenne: Niemieckie łodzie na Wiśle z armatkami do ostrzeliwania rosyjskich aeroplanów.

sącej chorągwie o barwach niemieckich i tureckich i wznoszącej entuzyastyczne okrzyki na rzecz Turcyi, Niemiec, trójprzymierza i spodziewanego zwycięstwa.

Trójprzymierze zyskało więc w Turcyi bardzo dzielną pomoc, już choćby z tego tylko powodu, iż Rosya, widząc się zagrożoną na swych tyłach, musiała tutaj, zwłaszcza na Kaukazie, uwięzić wielkie masy wojska, które w danym wypadku mogły były być przesunięte w stronę Królestwa Polskiego.



Z Galicyi i Królestwa Polskiego: Jeńcy rosyjscy pod dozorem żandarmów niemieckich naprawiają drogi w Królestwie Polskiem.



Ważne zwycięstwo na zachodnim terenie: Niebezpieczna przeprawa przez rzekę Aisne

Ważne zwycięstwo na zachodnim terenie

Skutkiem przesunięcia znacznych sił niemieckich do Królestwa Polskiego na zachodnim terenie osłabła ofenzywa Niemców, którzy przez czas dłuższy prowadzili tam walkę pozycyjną bez widocznego rezultatu. Ten stan pewnego zastoju w operacyach wojennych przerwało świetne zwycięstwo, jakie odnieśli Niemcy w gwałtownych brawurowych atakach pod Soissons. Ma ono ważne znaczenie dla dalszej kampanii, przez zajęcie bowiem korzystnych pozycyi stało się kluczem do dalszych zwycięstw.



Ważne zwycięstwo na zachodnim terenie Niemieckie karabiny maszynowe na zakrytej pozycyi pod Soissons.

Podczas walk pozycyjnych ostatnich miesięcy posiadali Francuzi w okolicy Soissons stanowiska, utworzone z labiryntu rowów strzeleckich, a rozciągające się po prawej stronie rzeki Aisne ku północy w kształcie przyczółka mostowego. Na zachodniem skrzydle wchodzącego w rachubę pola walki wznosi się na zachód od linii kolejowej Soissons Laon, ponad doliną rzeczną, lesiste wzgórze, na którego wschodniej części rowy Francuzów i Niemców leżały tuż naprzeciwko siebie — przyczem obie strony starały się wejść w posiadanie najwyższego wierzchołka. Na wschód od tego wzgórza leży w dolinie wieś Crony, a obok niej prowadzi kolej Soissons Laon, która wiedzie ku północy.

Na wschód od linii kolejowej znajduje się szereg kamieniołomów, w których niemieccy żołnierze po mistrzowsku się usadowili. Tak zwana pozycya kamieniołomów tworzy zachodni rozłóg przestrzeni górzystej pod Vregny, która wdłuż i wszerz rozciąga się na wschód od kolei i znajdowała się w całej swej południowej części w posiadaniu francuskiem. Od strony rzecznej wrzynają się w obszar górzysty głębokie parowy. W nich usadowiła się bardzo korzystnie ciężka artylerya francuska. Siedzący na drzewach i poza pancerzami stalowymi obserwatorzy kierowali oskrzydlający ogień ciężkich armat przeciwko pozycyom niemieckim. Ten oskrzydlający ogień zwracał się przedewszystkiem przeciwko rowom strzeleckim, gdzie szerzył ogromne spustoszenie. Jedna z pozycyi niemieckich, tak zwany rów karabinów maszynowych, została literalnie przez nieprzyjaciela zniwelowaną, a znajdujące się tam karabiny maszynowe zostały zasypane. Po tem przygotowaniu armatniem przystąpił przeciwnik do ataku. Wtargnął on na szerokości frontu około dwieście metrów w niemiecki rów strzelecki i nie można było go pomimo licznych usiłowań wyprzeć stamtąd. Przyszło tam w ciągu dni i nocy do nadzwyczajnych gwałtownych walk pierś o pierś. Walczyli tu turkosi nie tylko przy pomocy karabinów i bagnetów, lecz gryźli i żgali nożami.



Nowy pruski minister wojny: Jenerał-porucznik Wild v. Hohenborn.



Z Galicyi i Królestwa Polskiego: Groby poległych żołnierzy pod Limanową.

Sytuacya stawała się krytyczną. Wobec tego wojska niemieckie wykonały kontratak, który skierowany był mniej przeciw lesistemu wzgórzu, jak przeciwko przylegającym tam francuskim pozycyom. Punktualnie o godz. 11 wyruszyli z pozycyi kamieniołomów niemieccy żołnierze, wydarli śmiałym atakiem nieprzyjacielowi najbliżej położone rowy strzeleckie i punkty obserwacyjne artyleryi. Natychmiat zmniejszył się francuski ogień oskrzydlający w kierunku lesistego wzgórza. Zaledwie uzyskano główny cel tego pierwszego ataku, gdy w godzinę później o godz. 12 w południe wyruszyli niemieccy strzelcy i w zwycięskiem posuwaniu się zdobyli jeden kilometr ziemi. Wtedy to przypuszczono szturm przeciwko lesistemu wzgórzu, przyczem wypędzono Francuzów najpierw z niemieckich, poczem z ich własnych rowów strzeleckich i ze wzgórza, gdzie na połowie stoków znowu się usadowili.

Jak wynika z opowiadań jeńców, sądzili Francuzi, że oczekiwany dalszy ciąg niemieckiego ataku rozpocznie się od lesistego wzgórza, a zatem od strony prawego niemieckiego skrzydła. W oczekiwaniu ataku od tej właśnie strony, przerzucili oni w miejsce to znaczne posiłki. Ze zdobytych francuskich punktów obserwacyjnych, gdzie rozciąga się u stóp cała dolina Aisne wraz z Soissons i katedrą — można było doskonale obserwować przybywanie tych rezerw na samochodach i koleją. Niemiecki atak został wykonany jednak w zupełnie innem miejscu i został uwieńczony świetnym sukcesem. Francuzi zdołali utrzymać się tylko w zagłębieniach spadku gór, sięgających doliny Aisne.

W ciągu kilkudniowych walk pod Soissons Francuzi na szerokości frontu 12—15 kilometrów zostali odparci o 2-4 kilometry pomimo silnych pozycyi i liczebnej przewagi.

Po stronie francuskiej walczyły czternasta i dwudziesta piąta dywizya rezerw, mieszana brygada strzelców, pułk piechoty terytoryalnej, a oprócz tego turkosi, żuawi i strzelcy marokańscy.

Z tego wojska dostało się przeszło 5.000 żołnierzy do niewoli niemieckiej. Zdobycz wojenna była znaczna. Zabrano ośmnaście armat ciężkiego, siedmnaście lekkiego kalibru, dalej armaty rewolwerowe, liczne karabiny maszynowe, pistolety oświetlające, granaty karabinowe i ręczne, a wreszcie nadzwyczajnie wielką ilość amunicyi piechoty i artyleryi.

Jako ogólny wynik tej bitwy podnieść należy fakt, że Niemcom udało się w tem miejscu przełamać front francuski, co musi wpłynąć na ogólne położenie wojenne.

Jak podają z zadowoleniem pisma niemieckie, Niemcy odnieśli wielki sukces. Zapowiedziana ofenzywa francuska nie tylko zawiodła, ale została w zupełności złamana przez silny i dobrze przeprowadzony atak niemiecki.

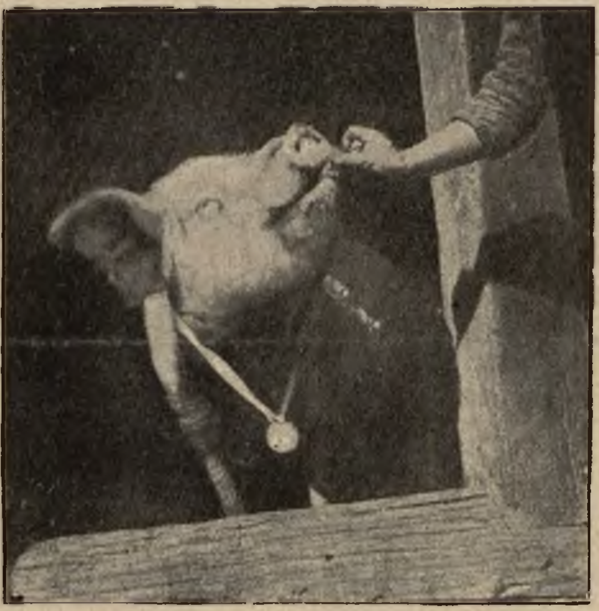
„Pod Verdun, pod Flirey i pod Apremont walki wypadły na korzyść Niemców, którzy zwłaszcza na punktach pomiędzy St. Mihiel i Pont a-Mousson posunęli się znacznie naprzód. Zyskali 10 kilometrów terenu, co w obecnem stadyum wojny jest znacznym sukcesem. Jest faktem, że Francuzi musieli się cofnąć poza rzekę Aisne, a Niemcy zajęli wzgórza, położone nad brzegiem.



Polacy w szpitalach monarchii: Personal szpitala cholerycznego w Munkaczu, w którym leczy się wielu Polaków.

Bezrogi walecznik.

W czasie najazdu na Galicyę zachodnią wojsko rosyjskie zrazu zachowywało się dość przyzwoicie,



Bezrogi walecznik: Knur z chlewni zarodowej w Przyszowy, który „pobił“ kozaków.

„rekwirując“ tylko żywność, paszę i t. p. Tak przynajmniej było w Limanowskiem aż do czasu, kiedy armia austryacka napierać zaczęła ostro od Tymbarku i Dobry. Wtedy wojownicy rosyjscy dali folgę swej szerokiej naturze, łupiąc i grabiąc wszystko, co im popadło pod rękę. Między innemi, w Przyszowy, wiosce ustronnej obok Limanowy, „odwiedziwszy“ w ten sposób bardzo skutecznie dwór, kozacy udali się do dzierżawcy folwarku i zabrali mu konie, bydło, zboże, i wszystko zgoła, co tylko znaleźli jadalnego. Mając jednak jeszcze dwa wozy próżne, szukali dalej i znaleźli rzeczywiście w chlewie dwie samury i kiernoza potężnego. Wsadzili na wóz jeden, na drugi chcieli wziąć kiernoza. Z samurami rzecz poszła gładko, kwiliły tylko płaczliwie; inaczej z... samurajem! Potężny kiernoz zrazu robił tylko „bierny opór“, nie dając się ruszyć z miejsca, zniecierpliwiony jednak natrętnością kozaków, wnet przeszedł do ofenzywy z takim skutkiem, że jeden z nich, silnie poturbowany, posądzał go o stosunki ze złym duchem, drugi zaś, znalazłszy się w dole, pełnym wody, prosił się, by go stamtąd wyciągniono, bo sam wstać nie może. I jego trzeba było odwieźć na wozie, przeznaczonym dla zwycięskiego kiernoza, który pozostał panem placu boju! Odjeżdżając, kozacy odgrażali się, że powrócą zaraz, by folwark puścić z dymem. Formalnie mieli ku temu prawo, gdyż zwycięzca nie miał charakteru kombatanta; w praktyce rzecz okazała się niewykonalną ze względu na konieczność szybkiego odwrotu.

Kiedy przedstawiciel „Nowości Illustr.“ zgłosił się do Przyszowy celem sfotografowania „bezrogiego walecznika“, ten wystąpił w stroju galowym: z medalem, który w czasie pokoju zdobył na wystawie nierogacizny, której bezsprzecznie przynosi zaszczyt. Tryumf nad kozakami nie zawrócił mu też widocznie w głowie, gdyż zachowywał się bardzo uprzejmie, bez pyszałkowatości i buty, pozując fotografowi z godnością i wdziękiem tak *en face*, jak i z profilu.



Z Galicyi i Królestwa Polskiego: Wojska austro-węgierskie w linii bojowej przed pozycyą rosyjską.

Nowy pruski minister wojny.

Żadna może z wojen nie pociągnęła za sobą tylu zmian w sferach tak dyplomatycznych, jak i wojskowych, jak tocząca się obecnie między trójprzymierzem a trójporozumieniem.

Niektórzy z dostojników przeszli w tak zwany „dobrze zasłużony stan spoczynku ze względu na stan swego zdrowia“ z powodów, iż nie nadawali się do piastowania powierzonych im godności, czyli, innemi mówiąc słowy, zawiedli położone w nich zaufanie, inni zaś usunęli się w zacisze domowego życia rzeczywiście z powodu wyczerpania sił cielesnych i duchowych pracą nad siły.

Po jednych i drugich pozostały więc wakanse, które z natury rzeczy zająć musieli inni.

Do szeregu tych właśnie promowanych należy nowy pruski minister wojny, jenerał-porucznik Wild v. Hohenborn.

Osobistość to w świecie militarnym znana z teoretycznego i praktycznego wykształcenia wojskowego, którego chlubne dowody złożył już, piastując w obecnej wojnie od 27. listopada aż do czasu nominacyi na ministra godność jeneralnego kwatermistrza ku zupełnemu zadowoleniu najwyższego wodza.

Stanisław Sławiecki

Księżniczka

Idylla.

8

Ale udała, że mowy tej, prośby błagalnej jego ócz nie zrozumiała, że jest jej zupełnie obojętnym.

— Kiedy papo wraca? — zapytał Zygmuś, zwracając się do siostry.

— Nie wiem jeszcze, mój drogi; jest już we Wiedniu i właśnie dziś dostałam stamtąd kartę.

— I cóż papo pisze?

— Zmartwiony. Z „Pieszczochem“ podobno źle, weterynarz wezwany nie robi nadziei; koń jest stracony.

— Szkoda! — rzekł ze smutkiem Zygmuś.

Zwracając się zaś do Adama objaśnił go:

— Wie pan, panie Adasiu, najpiękniejszy koń z tatusia stajni w Wiedniu zwichnął nogę i coś mu się jeszcze stało.... tak, że już przepadło. Stracony.

— A na wiosnę miał jechać do Paryża na wiosenne „derby“ — dodała panna Lili.

— Ach! to prawdziwa szkoda! — rzekł Adam bez namysłu, byle coś powiedzieć, a myślami już był gdzieindziej.

W tej chwili, gdzieś w sąsiednim pokoju, dał się słyszeć ochrypły, kobiecy głos... Lili! Lili!

To stara Francuzka, panna Matylda, pod której opieką pozostawała księżniczka.

Panna zerwała się z fotelu.

— Oho! Moja opiekunka zaniepokojona, muszę się spieszyć, bo gdyby mię tu zastała na takiem „rendez-vous“ z panami — rzekła śmiejąc się — tobym dostała dobrą naukę.

— Do widzenia więc, jutro o tej porze — rzekła podając mu wypieszczoną dłoń.

Ta bieluchna rączka, o skórze atłasowo gładkiej, uścisnęła mu dłoń tak silnie, że na całem ciele zrobiło mu się gorąco. Jeszcze jeden uśmiech czarowny i kształtna, wiotka postać, w białe batysty odziana, zniknęła za drzwiami.

Adam chciał się rzucić na te drzwi, rozbić je, połamać w kawałki. Gdyby mógł, zmieniłby porządek świata, ten głupi, bezmyślny, który mu zabraniał z tym aniołem czystym najniewinniej w świecie porozmawiać i to w obecności jej brata.

Cóż za bezmyślne etykiety! obruszał się Adam.

Z niecierpliwością oczekiwał nocy, a po niej dnia. Wracając zaś do siebie, na wspomnienie minionych chwil, błogosławił burzę i grzmoty, które mu tę kobietę dały w ramiona.

Był rozmarzony tem niespodziewanem spotkaniem. Czuł, że ta młoda, piękna kobieta zbyt silnie na niego oddziaływuje. Po chwilach uniesienia nastąpiła godzina refleksyi. Siadłszy przy oknie na krześle, zaczął się krytycznie i trochę chłodniej zastanawiać nad tem, co się stało i doszedł do wniosku, że postępuje, jak dzieciak.

Doskonale — szeptał mu w głębi głos samokrytycyzmu — pierwsza lepsza, ładna dziewczyna i już się kochać, to przecież śmieszne, więcej jak śmieszne, to staje się komicznem. Pomyśl tylko, że będziesz jednym i to jednym z tych na szarym końcu adoratorów pięknej panny. A ta jej sympatya dla ciebie, te komplementa! O! naiwny! Iluż ich już wysłuchało! I poszli... a ty jeszcze prędzej pójdziesz!

Bawi się tobą, plebejuszu, chce cię rozkochać w sobie, bo się nudzi. Jest piękna, więc ma do tego prawo.

A ty? Cóż tobie zostanie potem, zawiedzionemu w swych miłosnych zapędach?

Samobójstwo z miłości... ha ha ha!

Doskonale!

Niech żyje bajronizm!

Spraw sobie jeszcze gitarę i... w jej trącając struny, idź pod jej okna w księżycową noc... trubadurze! — drwił zimny rozsądek.

Ona ukaże się w białym kaftaniczku w oknie... wzruszona tą nastrojową sceną... posłucha twej muzyki, a gdy już całą potęgę uczucia wypowie twoja pieśń, każe ci przez służącego rzucić kilka srebrników... ha! ha!

Adam porwał się z krzesła i w największem zdenerwowaniu chodził tam i z powrotem po pokoju.

Ten stary kpiarz — myślał — ma jednak racyę!

Ale właściwie, cóż mnie może obchodzić to, że ona mnie nie będzie kochała, to przecież w niczem nie zmniejszy potęgi mego uczucia.

Dość, że ja ją kocham i...

...Mam nowy temat do poezyi — dodał ten sam głos wewnętrzny.

Do licha! — rzucił się Adam — czy ja sam myślę, czy może ktoś drugi dzieli się ze mną władzą nad mojem własnem „ja“?

Postępujesz, jak dzieciak! — potórzył ten sam głos, przeczuwając rychłe zwycięstwo.

Swoją drogą trzeba z tem rozmarzeniem babskiem skończyć — zadecydował Adam.

Można być szczęśliwym, ale trzeba umieć szczęścia szukać, trzeba umieć sobie życie urządzić i żyć tem, co jest dla płatnego osobnika dostępnem, a nie wysilać się nadaremnie, nie sięgać po to, o czem się wie, że niedostępne.

A jeśli się nie chce iść drogą utartą?

To rozmyślanie spędziło mu sen z powiek. Już noc cicha naszła ziemię i wszystko spowinęła w śnie.

Adam siadł z powrotem przy oknie i, wsparłszy się o framugę, patrzył w ogród.

Chłonął w siebie tę kojącą ciszę.

...Bo czemże ty dla niej być możesz? — dręczyła go myśl — mężem? nigdy, kochankiem? wątpię, marna rola, więc?...

Adam zrobił ręką ruch zniecierpliwienia, jakby chciał usunąć natrętne myśli. Starał się o wszystkiem zapomnieć.

Trochę szczęścia chciał zaznać, cichego szczęścia. Mieć taką cudną, młodą przyjaciółkę, z nią dzielić i radość i smutki...

Bratniej duszy!... Tyle lat... szedł tem życiem, miał dwadzieścia trzy lata... i nie znalazł jej.

Im silniej starał się zapomnieć o Lili, tem natarczywiej myśli go atakowały, tem częściej imaginacya jej postać nasuwała mu przed oczy.

— Powabna — wymknęło mu się z ust.

Ależ człowieku! Ty jej nie kochasz, tylko w siebie wmawiasz. Szukasz, romantyku, wrażeń i czepiasz się tej biednej, Bogu ducha winnej księżniczki, jak pijany latarni.

Dajże jej spokój! Dostanie bólu głowy i czkawki.

Kocham — upierał się Adam.

Kiedy to nawet nie twój typ.

Kocham!

Ma za duże usta.

Cudne, wilgotne, karminowe... namiętne.

Nie lubisz namiętności... ona uosobienie namiętności. To już rodzinne... wiesz... pomyśl tylko.

Adam przybladł.

Zresztą próbuj... niezaszczytna rola!

Chwycił kapelusz i jak strzała wypadł do ogrodu. Po kilku krokach natknął na jakąś spiesznie umykającą postać. Zawinięta była w jakiś szal, tak, że w pierwszej chwili nie mógł rozeznać twarzy. Przy bliższem przyjrzeniu się poznał Ewunię.

Dziewczyna, nie mając przez kilka dni sposobności zobaczenia go, nocą podchodziła pod jego okna i w cieniu ukryta, długo nieraz patrzyła w ukochaną przez się twarz. Okien bowiem nigdy nie zasłaniał i z ogrodu dokładnie można było obserwować, co dzieje się w jasno oświetlonym pokoju.

Przywitał ją ukłonem, zdziwiony i zapytał:

— Co pani robi utaj tak późno? Nie boi się pani tak błądzić w ciemnościach?

Ona, ogromnie zmięszana tem spotkaniem, zbita z tropu, milczała. Po chwili rzekła:

— Śliczna dziś noc, duszno mi było w sypialni, więc wyszłam do ogrodu. Tu mi się przecież nic złego stać nie może.

— Ogród nie zamykany, może się ktoś obcy...

— Straż nocna pilnuje.

— Widzi pani i to dla pani niepomyślna okoliczność. Zobaczy panią kto, choćby nocny strażnik, o tej porze samą... wie pani, co on sobie pomyśli? To jego rzecz, ale co jego język rozniesie?

— Do mnie nic podobnego nie może przylgnąć. Zresztą znają tu już wszyscy moje dziwactwa. Raz nawet przed dwoma laty wuj Rafał chciał do mnie strzelać z okna, myśląc, że nocny złodziej...

— Ja w każdym razie nie chciałbym moją osobą dawać powodu do jakichkolwiek domysłów, któreby mogły rzucić cień na panią, a i mnie nie przysporzyłoby pochlebnej opinii.

— Tak pan dba o tę tak zwaną opinię? Nie wiedziałam! Myślałam, że pan przynajmniej inaczej zapatruje się na te przeżyte przesądy o przyzwoitości towarzyskiej.

— Nie, proszę pani! Muszę panią wyprowadzić z błędu. Nie lubię obłudy, która się zwie obecnie przyzwoitością i w stosunku do kobiety nie krępuję się żadnemi regułami. Atoli naprawdę w tych stosunkach jestem Katonem. Wypływa to z ogólnych moich pojęć o społeczeństwie, rodzinie... ale o tem kiedykolwiek, tylko nie teraz... bo właśnie błysnęła latarka stróża nocnego. Wracam, dobranoc pani.

— Panie! — zawołała za odchodzącym — Jedno jeszcze. W sprawie tych czytelni ludowych, o których mówiliśmy. Mam plan założenia tu, w Zbylitowie, takiej czytelni i kooperatywnej spółki. Może jutro się spotkamy. Dobrze?

— Zgoda! Zaraz po mej lekcyi, koło jedenastej!

— Dobranoc!

— Dobranoc!

V.

Na drugi dzień niedziela była. Śmiejący się, nieomal wiosenny wstał ranek, piękny, pogodny dzień zwiastujący. Adam, położywszy się spać dopiero o świcie, wstał zmęczony, niewyspany. Na wybladłej twarzy znać było zmęczenie i ślady nocnych przejść. Spokojny był jednakże i w niezłym humorze.

Po śniadaniu odbył jak zwykle lekcyę z Zygmusiem i wyszedł do ogrodu. Czekały tam już na niego panny Zofia i Ewunia. Obie były biało ubrane i wyglądały, jak rodzone siostry.

Adam zdziwił się.

— Więc i pani, panno Zofio, z nami? — zapytał, witając się.

— Tak — rzekła poważnie. – Ewunia opowiedziała mi wszystko. Chcę zacząć pracować poważnie, a ponieważ Ewunia u nas tylko na wakacyach, poczem wraca do rodziców, przeto muszę przypatrzyć się waszej pracy od początku i sama może się przydam na co.

Spojrzała pytająco na Adama.

— Naturalnie! Może pani dużo nawet zrobić. Panią podobno chłopi bardzo lubią. Wieś duża, aż trzy sklepy i to wszystkie w żydowskich rękach. Jest dość pola dla nas trojga, pamiętając o tem, że za miesiąc już mię tu nie będzie. A czasu szkoda, tembardziej, że bezpośrednio do pracy przystąpić nie możemy. Trzeba będzie najpierw przygotować umysły. Dzisiaj zaczniemy z nimi od nieobowiązującej rozmowy, wspomnimy im o kooperatywie, wyjaśnimy jej cele i poczekamy na skutki. Dziś zasiejemy ziarno.

— Ja się bardzo cieszę — rzekła dziecinnie wesoła Ewunia.

Nikt jej nie odpowiedział.

Za chwilę odezwała Zofia:

— Wie pan, myślałam w tej chwili, czyby do spółki nie wciągnąć mojego papy, on bardzo chętny do społecznej pracy. Trzeba go tylko pchnąć do niej. Przytem bardzo kocha lud. On wzrósł wśród niego. Nasz dziadzio miał także majątek w Sandomierskiem, ale... Możeby i ksiądz proboszcz, staruszek — mówiła dalej, jakby do siebie.

— Tak, tak! — odpowiedział Adam — dużo mogliby zrobić! Powinni! Duchowieństwo u nas dużo zaniedbało, powinno się spieszyć i uprzedzić tych emisaryuszy z miast, który już coraz częściej trafiają do wsi z wszechludzkiemi hasłami.

— Ja z nimi pomówię — rzuciła Zofia.

— Ja pani pomogę ich przekonać, gdyby zaszła potrzeba.

A potrzeba taka kilkakrotnie zachodziła i Adam musiał używać całej mocy swej wymowy i wiadomości, ażeby nieufność staruszków pokonać. Skoro jednakże ich przekonał, wzięli się do pracy z całem poświęceniem i wytrwałością.

W tem i owem trzeba było ustąpić na rzecz ich zapatrywań i wszystko wkrótce było na najlepszej drodze.

Odtąd zaczęło się dla Adama życie ogromnie czynne, a dni szybko mijały i zbliżał się koniec jego pobytu w Zbylitowie. Lekcye z młodym Zbylitowskim, spacery, czytelnia we wsi i przedwstępne czynności do założenia sklepiku, od czasu do czasu jakaś wycieczka dalsza, to wszystko składało się na pobyt bardzo urozmaicony i przyjemny.

Wieczorne pogawędki z Zygmuntem i uroczą jego siostrą nie ulegały zmianie. Codziennie o tej samej porze schodzili się w małym saloniku i wiedli swobodną rozmowę o literaturze, sztuce i muzyce. Kilkakrotnie deklamował Adam swe wierszowane utwory, panna Lili znowu grywała na fortepianie i tak im płynął mile czas, że z żalem się zawsze rozchodzili. Zwykle przy tych zebraniach asystowała panna Matylda.

Ojciec jeszcze nie wrócił z Wiednia. Matki nie mieli, lat kilka temu umarła. Dzisiaj nauczycielka się nie zjawiła. Zdarzało się to ostatnimi dniami coraz częściej. Z początku patrzyła ona na Adama podejrzliwie, ale z czasem, poznawszy bliżej, bardzo go polubiła. Zdołał w niej wzbudzić do siebie duże zaufanie.

Adam, wszedłszy do saloniku, nie zastał w nim nikogo, natomiast przez uchylone do drugiego pokoju drzwi, ujrzał Lili, siedzącą przy fortepianie. Siedziała na taburecie, profilem do niego zwrócona, lewą rękę wsparłszy na klawiszach. Zamyślona, nie słyszała szmeru w drugim pokoju. Obok, na fotelu, leżała otwarta w połowie książka, widocznie przed chwilą porzucona.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Polacy w szpitalach monarchii.

Trudy i wyczerpanie, które są stałymi towarzyszami życia obozowego, oraz wydoskonalenia nowoczesnej broni są też i powodem, że obecne wojny pociągają za sobą daleko więcej ofiar w ludziach, niż najbardziej nawet mordercze starcia w dawniejszych czasach.

Można śmiało powiedzieć, że prawie co drugi żołnierz musi w czasie wojennym szukać pomocy lekarskiej jeśli nie z powodu ran, odniesionych na placu boju, to z powodu nabawienia się tamże jakiejś słabości.

Wie o tem dobrze zarząd armii, postarał się też wcześnie we wszystkich krajach, wchodzących w skład monarchii austryacko-węgierskiej, o urządzenie odpowiednich lecznic, gdzie chorzy i ranni mogliby znaleźć troskliwą opiekę i przyjść znowu do zdrowia.

Kilkakrotnie wspominaliśmy już o tem, że wobec różnojęzyczności ludów naszego państwa nie można nawet myśleć o tem, by każda narodowość mogła znaleźć osobny zakład leczniczy, wobec tego i dziwić się też nie należy, że niema prawie szpitala, w którymby nie znajdowała się mniejsza lub większa liczba naszych rodaków.

Znalazłszy się poza swym krajem, poznają dopiero, co to znaczy pobyt na obczyźnie, jednoczą się też ze sobą celem wspólnego pocieszenia się i niesienia sobie nawzajem pomocy.

Od czasu do czasu zwracają się także duchem i myślą do swych stron rodzinnych i, by dać znać o sobie i przypomnieć się swoim, jeśli już nie do rodzin, to bodaj do różnych redakcyi wysyłają listy, prosząc o wiadomości, co też tutaj słychać.

W ubiegłym tygodniu otrzymaliśmy dwie takie korespondencye, jedną z Munkacza, gdzie w szpitalu wojskowym leczy się wielu Polaków, chorych na cholerę, drugą z Berna morawskiego.



Obrazki wojenne: Opatrunek rannego w polu, odszukanego przez psy Czerwonego Krzyża.

Zwłaszcza ta ostatnia kreśloną jest nad wyraz serdecznie. Przygodny nasz informator, również sam ranny, opisuje życie, jakie panuje na oddziale szpitalnym profesora Bakiesza, gdzie zebrało się stosunkowo wielu Polaków. Niema po prostu słów na wyrażenie uznania opiekującemu się nimi radcy cesarskiemu, dr. Tadeuszowi Gabryszewskiemu ze Lwowa, który „zajmuje się chorymi, jak ojciec, a także i Polakom w mieście spieszy zawsze z chętną pomocą". Również naczelny lekarz oraz personal sanitarny zaskarbił sobie dozgonną wdzięczność biednych chorych, których losy aż tam zagnały.



Nasi na wojnie: Dr Stanisław Przychocki, Krakowianin, obecnie starszy lekarz 16-go pułku obrony krajowej.

Nasi na wojnie...

Pisze się o „trzynastakach", o tych naszych chłopcach, co swój krakowski humor, werwę i tupet ponieśli ze sobą na wojnę, gdzie męstwem świecą i zawsze brylantowym nastrojem innych na duchu krzepią. Warto też wspomnieć i o innych zuchach krakowskich, „landwerach z szesnastki", wszak to też nasi.

Tam, gdzie są „trzynastaki", znajdują się i „szesnastaki", należą do jednego korpusu, nie jedno już zwycięstwo razem odnieśli i niejedną biedę wspólnie wycierpieli, walcząc ramię przy ramieniu, podwójnie blizcy, bo pochodzeniem z naszego miasta i serdecznem obecnie braterstwem broni. Kraśnik, Lublin, Sandomierz, Józefów, Iwangród, Pilica i inne, oto szereg dotychczasowych miejsc chwały, ale też i ciężkich zmagań się, gdzie nasza „landwera" obok „trzynastaków" wsławiła się walecznością i męstwem swych żołnierzy.

Wielu z nich okryło się sławą, wielu legło na polu walki, a bratnie pułki wciąż w polu.

Obecnie na pozycyach w Królestwie, gdzie „rozmawiają" tylko „grube wujki" i „Berty", nasze pułki odpoczywają sobie, czekając na dalsze operacye. W czasie tym odbywa się uzupełnianie pułków, zaopatrzenie ze strony komend i etapów, zaś ze strony żołnierzy „dokumentne" wypoczywanie, to jest jedzenie, ile się tylko da i spanie z intenzywnością żołnierską, co to za dobre posłanie ma i rów strzelecki, albo gołą ziemię.

W tym też czasie zawitał niektóry z nich do rodzinnego miasta i zdziwił wszystkich swym czerstwym wyglądem i humorem. Cała tego tajemnica, to „przyzwyczaić się" do wojny i ocaleć przed kulką, a można nawet przytyć i nabrać sił.

Między innymi wpadł w tych dniach do Krakowa z placu boju starszy lekarz t. zw. Hilfsplatzu przy I. batalionie 16. pułku obrony krajowej, dr. Stanisław Przychocki, znany z tutejszego pogotowia ratunkowego. Przybył na parę dni w interesie służbowym, sprawiając radość rodzinie i przyjaciołom, co mieli go już za zaginionego. Przyjechał i odjechał na koniu w towarzystwie ordynansa, robiąc w dwóch dniach... 85 klm. polskiej drogi!... Skromny „cywil" w czasach pokojowych ani się spodziewał, by wojna uczyniła zeń tak dobrego kawalerzystę.

Według słów tego gościa z wojny, landwerzyści nasi spisują się wspaniale, a te setki rannych, jakich opatrzył, znosiło swój los spokojnie, żałując tylko, gdy który z nich musiał jechać do szpitala.

— My się tam w wolnych chwilach bawimy doskonale — mówił dr. P. na odjezdnem, którą to chwilę przedstawia jedna z naszych illustracyi — tylko nie płaczcie po nas przed czasem i bądźcie dobrej myśli, jak my, tam w polu...

Z Galicyi i Królestwa Polskiego.

Galicya i Królestwo Polskie, gdzie spoczywa punkt ciężkości toczącej się obecnie wojny, są w ostatnich czasach terenem walk, które mają rozstrzygające znaczenie. Gwałtowna ofenzywa wojsk austro-węgierskich w zachodniej Galicyi i pod Karpatami odniosła szereg świetnych sukcesów, zmuszając nieprzyjaciela do cofania się z zajętych pozycyi. W tych walkach okazało się niezwykle skutecznem działanie



Nasi na wojnie: Przyjaciele żegnają w ul. Kopernika odjeżdżającego dra Przychockiego na plac boju.

austryackiej ciężkiej artyleryi, która z powodzeniem ostrzeliwała teren koło Tarnowa.

Również i w Królestwie Polskiem walki toczą się na całej linii, a ataki Niemców nad Bzurą i Rawką przybierają takie rozmiary i taką gwałtowność, jakich dotychczas nie wykazały żadne operacye. To też, jak sądzą fachowi sprawozdawcy wojskowi, walki, jakie toczą wojska austryackie i niemieckie w Galicyi i w Królestwie Polskiem, doszły obecnie do punktu kulminacyjnego.



Ważne zwycięstwa na zachodnim terenie: Oddział niemieckich karabinów maszynowych w gałopie pod Soissons.

Kronika tygodniowa.

Jeśli wierzyć przysłowiu, a wierzyć się powinno już choćby tylko z tego powodu, iż, jak mnie w szkołach uczono, są one filozofią narodów, to zimę w tym roku dyabli wzięli. Niedźwiedź, wylazłszy z budy w dzień Matki Boskiej Gromnicznej, przekonał się, iż z dachu nie kapie, ale silny mróz trzyma, kiwnął ogonem (chyba kronikarz się myli! Biedny niedźwiedź pozbawiony jest tej cielesnej ozdoby!... przyp. zecera) i poszedł na spacer.

Swoją drogą, konstatuję, iż obejdziemy się już bez zimy, skoro właściwie dotąd jej nie było, co jest tem chwalebniejsze, iż, choćbyś chciał, futra z lombardu nie wykupisz, gdyż wyemigrowały wszystkie na zmartwienie pana Weisskirchnera do Wiednia.

Zdaje się, iż przykład tamtego przysłowiowego niedźwiedzia podziałał i na jego kolegę, który wlazł do Galicyi i rządzi się tu, jak na swych własnych śmieciach, bo także zbiera manatki i powoli cofa się na całej linii, eskamotując po drodze, co się da, zapewne dlatego, by mieć pamiątkę swego tutaj pobytu.

Wobec tego nie wiem, czy będę mógł wywiązać się z danego słowa i wybrać się raz przecież na teren toczącej się walki, myślę jednak, że Szanowni Czytelnicy nic na tem nie stracą, gdy bowiem przyjdzie na mnie chwila natchnienia, potrafię pisać nawet i o tem, czego nigdy na swoje oczy nie widziałem, o czem nawet nie słyszało ucho moje.

Tak zresztą, jak ja, postępują i inni moi koledzy po piórze, każdy jednak w inny sposób wywołuje u siebie to boskie natchnienie. Znam jednego z piszących panów, który sam się chwali, iż wówczas jest dopiero „w sztosie“, gdy zje kilka czekoladek, faworem swym otacza zaś specyalnie „Danusię“ Piaseckiego, by dać innym dobry przykład, jak należy popierać przemysł krajowy.

Ja tam czekolady nie lubię, zostawiając sobie wszelakie słodycze na później, gdy człowiek, z pomocą lekarza, lub bez niej, przeniesie się na łono ojca Abrahama, używam natomiast w tym celu pilzneńskiego płynu, gdy jego braknie, nie gardzę też krajowym okocimerem, lub „żywcem“, bojkotując natomiast na każdym kroku porter angielski. Tak powinien postępować wszelaki obywatel, a zgnębimy Anglików, co daj Panie Boże, aby stało się jak najprędzej.

Bo, proszę mi powiedzieć, czy my właściwie możemy sympatyzować z synami Albionu, którzy nam dotąd nic dobrego nie zrobili? Dzięki im mamy wprawdzie angielskie cukierki, angielskie piwo i angielską chorobę (...oby w konia wlazł, kto ją zaprowadził... przyp. zecera), im także zawdzięczamy, że mamy i nasze krajowe sufrażystki, starające się naśladować swe angielskie koleżanki.

Już z tego ostatniego powodu zaprzysiągłem im zgubę i, gdybym posiadał łódź podwodną, lub inny jaki podobny instrument, wybrałbym się na wody angielskie, by się z nimi ostatecznie, poważnie, a po przyjacielsku rozprawić.

W tym celu wybrałem się na tandetę, przekonałem się jednak, że łodzi podwodnej tam nie nabędę, potem szukałem Arona Gajera, który w sprawach „marynarki“ jest znanym specyalistą. Niestety, nie mogłem z nim konferować, gdyż, jak mi powiedziano, „wyewakuował się“, dokąd zaś, to podobno tajemnica stanu.

Wracając do zimy, od której zacząłem, tłumaczę sobie teraz dopiero owo nasilenie manii saneczkowej, o czem już w poprzedniej kronice wspomniałem, ściągając na swą niewinną głowę gromy wszystkich saneczkujących się profesorów.

Trzydziestu sześciu w samą niedzielę ubiegłą pytało mnie, spotkawszy się ze mną na ulicy:

— Panie! Czy pan mnie miałeś na myśli?

— Skądże znowu! — broniłem się, przewidując burzę, gdyż wiem już z doświadczenia „na własnej skórze“, jeszcze z czasów mych studyów normalnych, iż rodzaj profesorski jest czasem bardzo popędliwy. (O! To prawda!... I moja skóra mogłaby, gdyby umiała mówić, dużo o tem powiedzieć!... przyp. zecera) — Zupełnie kogo innego, kochany profesorku.

— A kogo? — badał dalej energicznie.

— Bardzo żałuję!... To tajemnica redakcyi, a tej mi zdradzać nie wolno!...

Ale, jak to dziwnie się nieraz składa na tym świecie! Zapewne Szanowni Czytelnicy i jeszcze Szanowniejsze Czytelniczki z tenoru (ładny mi tenor!... przyp. zecera) mojej poprzedniej kroniki wywnioskowali, że zwolennikiem tego nowoczesnego sportu nie jestem. Jeśli tak, to nie pomylili się wcale. Sankować lubię się i to bardzo, ale na takich prawdziwych sankach, które ciągnie całkiem żywy koń, kręcenie sobie zaś karku według nowej metody uważam za mniejszą przyjemność, wobec czego na nią się wcale nie piszę.

Proszę więc wyobrazić sobie zdumienie, jakie ogarnęło mnie onegdaj, gdy stanął przedemną pewien bardzo okrąglutki pan poborca podatkowy i powiada do mnie:

— A możeby tak redaktor dziś popołudniu razem ze mną na saneczki?

Skoczyłem, jak dyabeł, gdy poczuje w bliskości wodę święconą.

— Panie łaskawy! — zawołałem z rozpaczą a z miną bazyliszka, któremu słoń na ogon nastąpi — Czy pan kpi, czy o drogę pyta?... Dobry sobie! Ja i saneczki!... Jeśli będę chciał kiedy kark skręcić, to wyjdę na wieżę Maryacką i stamtąd skoczę, a obejdę się bez saneczek!

— Ależ, redaktorku! To się nie opłaci! Wstęp na wieżę kosztuje czterdzieści halerzy, saneczkowanie zaś będzie całkiem gratis!

— Nie, panie! Oświadczam całkiem kategorycznie, że w obecnych warunkach nie myślę wcale karku kręcić ani za pieniądze, ani zadarmo, bo, po pierwsze, chcę się doczekać końca wojny, po drugie zaś, coby moja stara na to powiedziała?!

— Ejże! Niech się redaktor namyśli! — kusił mnie dalej — Mam konika, pojedziemy sobie na Panieńskie Skały, tam siądziemy na saneczki i hejże z góry na dół!... Co to za przyjemność!

— Ja z niej rezygnuję! Pomyśl pan zresztą, jak silną musiałyby mieć konstrukcyę, by nas obydwu unieść i nie załamać się po drodze! Nie, panie! Na bombkę jestem gotów pójść o każdej porze i jak daleko pan zechce, na saneczki mnie pan nie weźmie! O nie!... Bo ja mam stałe zasady!

I, rzecz prosta, nie poszedłem i kto wie, czy nie temu mam do zawdzięczenia, że jeszcze żyję i piszę ową kronikę. Wyobrażam sobie, jak rozpaczaliby P. T. Prenumeratorzy i Czytelnicy, gdyby tak niniejszy numer *Nowości illustrowanych* przyniósł tytułową rycinę z podpisem: „Kronikarz *Nowości* kręcący sobie kark na Panieńskich Skałach“.

Brr!... Aż mnie ciarki przechodzą na samo wspomnienie, choć znów radość mnie przejmuje ogromna, gdy sobie pomyślę, ile to wieńców złożonoby na mym grobie, ile gorących łez uronionoby, opłakując tę tak bolesną i nie dającą się tak łatwo zastąpić stratę! O! Bo mnie kochają Czytelnicy! Ja wiem o tem bardzo dobrze i zbieram tej sympatyi ciągłe dowody.

Nie wszystkie są jednakowoż przyjemne.

Ot, zdarzyło się niedawno, będzie może tydzień temu, iż pewien poczciwy Czytelnik, zdaje mi się ze Żywca (Znam Żywiec! Tam jest wielu porządnych ludzi!... przyp. zecera), pisząc w jakimś interesie do Redakcyi, dołączył też i życzenia pomyślności przy Nowym Roku dla kronikarza, dziękując mu, iż stara się rozweselić Czytelników. W *post scriptum* dodał ucałowanie rączek dla „pani kronikarzowej“.

I to ostatnie mi się właśnie nie podoba!... Nie dlatego, jakobym może był zazdrosny! Broń Boże! Jeśli komu to przyjemność sprawia, może sobie całować moją starą ile razy i gdzie zechce, pod warunkiem przecież, bym ja z tego powodu nie musiał cierpieć!

A mimowoli stał się ów jegomość przyczyną nieprzyjemności, jaka mnie spotkała i to właśnie ze strony mej rodzonej żony! (Co ten kronikarz dziś wygaduje?!... Czy to może być n. p. cioteczna żona?... przyp. zecera).

Przeczytawszy ową kartkę, chciałem się naturalnie pochwalić przed moją połowicą, by wiedziała, że ma męża nie byle jakiego, ale takiego, którego ludzie kochają. Wybrałem jednak chwilę widocznie nieodpowiednią. Zacna moja dozgonna towarzyszka zajętą była właśnie liczeniem bielizny, gdyż nazajutrz miało się u nas odbyć tak zwane „wielkie pranie“, wiadomo zaś, że jest to w każdym domu nader uroczysta chwila.

Ja jej opowiadam, ona nie słucha, ale liczy „kawałki“ z tasiemkami i bez tasiemek, z koronkami i bez nich. Powtarzam wszystko *da capo* i pytam:

— No i cóż ty na to?

A tu babsko jak nie wrzaśnie;

— A dasz mi ty święty spokój?! Licho mnie to obchodzi! Pomyliłam się i teraz muszę drugi raz liczyć, a tu czasu szkoda!...

Chciałem wytknąć jej całą niewłaściwość tego postępowania i zacząłem coś mówić, co ją dopro wadziło do takiej pasyi, iż najpierw rzuciła na mnie jakimś kawałkiem bielizny, widząc zaś, że znajduję się poza doniosłością strzału, a nie mając nic innego pod ręką, zdjęła z nogi pantofelek (...nawiasem powiem, że nogi ma, jak słoń...) i ugodziła mnie w sam koniec nosa...

— Gwóźdź! — zawołałem, przypominając sobie termin techniczny, jaki słyszałem ongiś na Strzelnicy.

— Wynoś mi się na cztery wiatry, bo inaczej będziesz mieć ze mną do czynienia!

— Jeśli w ten sam deseń, co przed chwilą, to... padam do nóg!... Już idę, bo nie lubię tego rodzaju małżeńskich czułości...

I poszedłem, nie czekając na dalsze wyładowanie babskiej energii, kto zaś nie wierzy, temu mogę pokazać swój własny nos, na którym do dnia dzisiejszego widać zaczerwienienie! (A to blagier, ten kronikarz!... Ma czerwony nos, to prawda, ale z innego powodu!... Sam się przyznał, skąd czerpie natchnienie!... przyp. zecera).

Nawet się nie spostrzegłem, iż tak daleko odbiegnę od owego saneczkowania, któremu postanowiłem poświęcić lwią część niniejszej kroniki. By raz z tem skończyć, wracam więc do owego pana poborcy, mego kusiciela, który starał się zrobić ze mnie „nawrócenie św. Pawła“.

Ale mnie Paweł nie na imię, więc się nie dałem. Zdaje mi się, że muszę być chyba zaszczepionym przeciw infekcyi owej manii, która występuje rzeczywiście zastraszająco, skoro ulegają jej nawet tak poważne osobniki, jak pan poborca podatkowy o żywej wadze ponad sto kilogramów.

Caveat więc *physicatus!...*, bo może być źle! Do licznych epidemii, jakie nas trapią, przybywa nowa i to tem gorsza, że dotąd nie znamy przeciw niej żadnego *antidotum*. Chybaby jeden olejek rycynowy pomógł, kto bowiem zażyje sporą dozę, temu nie radzę się saneczkować!...

Po rozmowie z panem poborcą, który uznał mnie za zacofańca, wybrałem się do Teatru miejskiego, by przecież czas jakoś zabić. Niestety... nie dostałem już biletu. Nasza świątynia sztuki, która świeciła pustkami, gdy wystawiano różne arcydzieła naszej poezyi dramatycznej, nie może pomieścić ciekawych, ilekroć pojawi się na afiszu tytuł tego rodzaju, jak „Robert i Bertrand, czyli dwaj złodzieje“, „Debiut mojej siostry“, „Małżeństwo Loli“ i t. d.

Ciekawy jestem, czy ujrzymy może i „Podróż po Warszawie“, w której przed laty z górą trzydziestu święcił takie tryumfy Józio Grojseszyk.

Kierownictwo naszego teatru ma jednak wskazówkę, jak układać repertoar, by kasa była pełna, a to dziś przecież grunt! Na te ciężkie czasy, niech się bodaj człowiek pośmieje.

Tego zdania jest i mój polityczny przyjaciel, Miecio „z pod Obrazu“, który chodzi często do teatru, o ile naturalnie ma tak zwany „wychód“. Głównie przecież zajmuje go wojna i polityka, nic też dziwnego, że onegdaj, wróciwszy stamtąd, wyraził zdziwienie, iż sala teatralna przypomina pole walki, gdyż muzyka ukrytą jest w rowie strzeleckim, a w lożach widział kilka „grubych Bert“ i takichże „wujaszków“.

Zapytywałem go o zdanie co do końca wojny, zastrzegł się, iż na razie jeszcze nie może nic stanowczego w tej materyi powiedzieć, choć nie miałby nic przeciw temu, by raz już nastał spokój, pod warunkiem przecież, że Liszki, jego miejsce rodzinne, nic na tem nie ucierpią.

— Niema pan redaktor wyobrażenia, jak się to człowiek w czasie tej wojny musi namęczyć! — mówił — Goń tu, goń tam, a nikogo nie zadowolisz, takie wszystko zdenerwowane!

Miałem go ochotę wyciągnąć na dłuższy wywiad, niestety, odwołano go na salę, co się jednak nie stało dziś, może się stać jutro. Aczkolwiek młody latami, jest to mąż pełen politycznej experyencyi, ze zdaniem jego należy się więc liczyć.

Kto zresztą wie, czy kiedyś nie zostanie w Liszkach burmistrzem, więc osobą, biorącą czynny udział w życiu politycznem kraju...? Wszak cały świat mówił swojego czasu o burmistrzu z Dobczyc, któremu Moskale ukradli buty...

Na tego rodzaju interwiewy będzie dość czasu po wojnie, dziś raczejby należało odwiedzić naszych panów kupców, rzeźników i piekarzy i popytać się, co oni właściwie myślą z nami zrobić, bo ceny idą wciąż w górę, a bułeczki na przykład są tak wielkie, jak średniego wzrostu pigułki!

Ba... powie jednak może ktoś z Czytelników... bułki są małe, to prawda, ale można w nich czasem znaleźć złoty pierścioneczek z szafirem!... Ja na to nie odpowiem nic, mnie bowiem podobne szczęście dotąd nie spotkało!

Zagadki do nagrody.

Trójkąt magiczny.

Ułożył Sz. Kiliński, Kraków.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić odpowiednie litery by powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzą pierwszą literę imienia i nazwisko znanego naszego filantropa i przyjaciela młodzieży

□ □ □ □ □ □ □
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Pora roku. 3. Zabudowania gospodarskie. 4. Miasto portowe nad Bałtykiem. 5. Drzewo liściaste. 6. Miara powierzchni. 7. Spółgłoska.

Szarada.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Jeśli masz, bracie, silne *pierwsze-trzecie,*
Nie zaznasz biedy na tym Bożym świecie.
Lecz zważ, by *drugie-trzecie* proste były
I czasem w przepaść cię nie zaprowadziły.
Trzecia i pierwsza, potrawa lubiana,
W rozmaity sposób bywa przyprawiana;
Całość, wszystkiego wam już nie odsłonię,
Ongiś na polskim zasiadała tronie.

Okienko.

Ułożył Sz. Kiliński, Nowy Jiczyn.

Z podanych liter utworzyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a a
i i l
l o o p r
r r r
t t u w w

Znaczenie wyrazów: 1. Inaczej sternik. 2. Imię żeńskie. 3. Najpospolitsza roślina.

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył Sz. Kiliński, Nowy Jiczyn.

Pomiędzy podane samogłoski wstawić odpowiednie spółgłoski, aby powstały dwa znane polskie przysłowia:

1) o o o o
2) o o o o o.

Łamigłówka.

Ułożył Mietek z Liszek.

Uzupełnić podane wyrazy. Początkowe litery, czytane z góry na dół, utworzą rozwiązanie.

—ora
—ran
—ewa
—gła
—zaw
—isa
—asa
—ron
—yga
—ora
—zow
—ola
—zya
—una
—gor.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Sz. Kiliński, Nowy Jiczyn.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Cud, guz, osęk, mowa, metr.

Trójkąt magiczny.

Ułożył Sz. Kiliński, Nowy Jiczyn.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić odpowiednie litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzą nazwisko polskiego filozofa i męża stanu.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Kobieta, poświęcona służbie Bożej. 3. Inaczej podobieństwo. 4. Imię męskie. 5. Imię męskie. 6. Materya jedwabna. 7. Napój. 8. Rzeka w Galicyi. 9. Przyimek. 10. Samogłoska.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Sz. Kiliński, Nowy Jiczyn.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Teresa je w sieni łoje, szybę, ser, pot i nic.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Sz. Kiliński, Nowy Jiczyn.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Stary ułan idzie po maź p. Jana. Ks, ks, ń, k.

Bilety wizytowe.

Ułożył R. K., Krościenko n. D.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zatrudnienie poszczególnych osob.

R. S. ZAŁAMEK.

ZATELEROWSKI.

ROMAN IZIK.

H. TETRACKI.

T. RZEMPALSKI.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Emmy Jeleńskiej*: **Trzy pokolenia.**

Nadesłane.

Głosy publiczne.

Pamiętajmy o wdowach i sierotach po poległych bojownikach. Wojna, którą obecnie przeżywają ludy Monarchii, pozostawi na długo niezabliźnione rany i źródło trosk znaczenia ogólno-społecznego. Z pośród wielu zagadnień, które już w obecnej chwili powinny być roztrząsane, by zawczasu przygotować środki zaradcze, największą troskę stanowić powinno zabezpieczenie bytu wdowom i sierotom po poległych wojownikach. Rząd czyni już dziś i w przyszłości uczyni wszystko, co w jego mocy, by ulżyć doli tych nieszczęśliwych istot. Jasnem jest atoli, że sam rząd wszystkiego zdziałać nie może, a stąd konieczną jest rzeczą, by odnośne usiłowania rządu, poparł cały ogół. Wdowom i sierotom tych, którzy legli w obronie słusznej sprawy całego ogółu ludności monarchii, należy się, by o losie ich pomyślał cały ten ogół i w miarę swej możności pospieszył z pomocą. Gdzie chodzi o to, aby każdy, choćby najbiedniejszy, mógł wziąć udział w składce, muszą być obrane najodpowiedniejsze drogi do tej składki.

Niema może nikogo wśród ludów monarchii, ktoby bodaj od czasu do czasu nie wymienił korespondencyi z osobami, pozostającemi z nim w pokrewieństwie lub w stosunku przyjaźni albo w interesie. Na wielkie datki nie wszyscy zdobyć się mogą. Dwa grosze da każdy chętnie, byle mu to umożliwić. Ministerstwo handlu wydało nowe wojenne znaczki pocztowe w cenie po 7 i 12 hal., tudzież wznowiło wydawnictwo jubileuszowych kartek korespondencyjnych (tak chętnie przyjętych przez publiczność w 1908 r.) po 15 hal., z których czysty dochód po odliczeniu kosztów nakładu i frankatury w zupełności przeznaczyło na dochód funduszu wsparć po poległych. Tą drogą można także wiele zdziałać, a wobec tak humanitarnego celu nie trzeba tracić wiele słów na zachętę do zakupna właśnie tych znaczków przed wszystkimi innymi. Wszak chodzi tu o los biednych, pozbawionych opiekuna i żywiciela, sierot i niewinnych rodzin tych, którzy, broniąc waszego spokoju, waszych słusznych interesów, własną piersią, krwią swą serdeczną tamowali drogę najeźdźcy. Takiemu wołaniu nie powinno się oprzeć żadne litościwe serce. Ofiara nie wielka — 2 hal.! Dawajmy ją wszyscy, jak najwięcej możemy, by duchom poległych bohaterów zapewnić spokojny sen wieczny.

Pod znakiem wojny.

(Kącik humorystyczny).

Z telegramów wojennych „Timesa“.

Z fortów, broniących jeszcze dostępu do Paryża, w liczbie trzynastu, wbrew doniesieniom niemieckim jeszcze dwadzieścia dwa znajdują się w stanie zupełnie dobrym.

Baterya niemiecka zatrzymała się w opuszczonej wiosce francuskiej. Zaledwie wyprzęgnięto konie, rozległ się głos: „Poddajcie się!“... Wszystko padło w przestrachu na kolana, odrzucając zdala broń od siebie. Był to gramofon, zostawiony przez Francuzów. Następnie zaczął grać Marsyliankę i nie ukończył jej, dopóki nie nadbiegli żuawi i nie ujęli nieprzyjaciół.

Śmiejemy się z pożyczki wojennej, jaką subskrybowano w Niemczech w kwocie około pięciu miliardów. Śmiesznie to mało, pieniędzy nie wystarczy nawet na rok... Zupełnie co innego w sprzymierzonej z nami Rosyi. Tam nie potrzebowano uciekać się do pomocy ogółu, gdyż jenerałowie i intendanci zobowiązali się dobrowolnie złożyć na ołtarzu ojczyzny po pięć procent od tych kwot, które udało się im „z boku zarobić“ w ciągu ostatnich lat dziesięciu. Z tego źródła spodziewany jest dochód około dziesięciu miliardów, co zupełnie wystarczy na pokrycie kosztów wojennych.

Jeden z naszych żołnierzy we Flandryi otoczony został przez dwa pułki niemieckiej kawaleryi, nie poddał się jednak, choć go tego kilkakrotnie wzywano. Widząc, że przedrzeć się nie może przez szeregi nieprzyjaciół, chwycił za karabin i strzelał, póki mu naboi starczyło... Tysiąc trupów nieprzyjacielskich zasłało pole bitwy... Dowódca niemiecki zwołał wobec tego naradę wojenną, na której postanowiono przypuścić atak do nieustraszonego bohatera, który byłby im zapewne uległ, gdyby nie własne ich konie. Zgniewane, zrzuciły jeźdźców na ziemię, aż połamali sobie ręce i nogi, zarżały trzykrotnie „hurra!“ na cześć odważnego Anglika i przeszły dobrowolnie na naszą stronę.

Z wykładu.

Profesor: Jeśli bacznie obserwujemy Fryderyka Wielkiego, to musimy przyjść do przekonania, że właściwie rozpada on się na dwie części...

Rodziny naszych żołnierzy.

niech pamiętają o swoich najbliższych, znajdujących się na polu walki, lub chorych. Gorąco polecamy Fellera dobroczynną fluidową esencyę roślinną, zwaną „Elsafluid“, prawnie chroniony środek przeciw cierpieniom reumatycznym, zaziębieniu, złym następstwom wilgoci, znużeniu z powodu zbyt długich marszów i kurczom, a wysyłany wprost na pole walki. Z powodu jednak nadzwyczajnej ilości zamówień nie może apteka uskutecznić wszystkich wysyłek. Dlatego radzimy Czytelnikom powyższy środek zamawiać pod swoim adresem a następnie samemu w pudełku lub liście podwójnym dalej wysyłać. Opakowanie darmo. 12 flaszek opłaconych K 6·—. 48 flaszek opłaconych K 20·—. Apteka E. V. Fellera, Stubica, Elsaplatz Nr. 127 (Kroacya). Wzmacniające żołądek pigułki, zwane „pigułki Elsa“, 6 pudełek opłaconych K 4·40.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego